ISBN 83 - 923458 - 0 - 0

CMENTARZ UNICKI W TEREBELI

Henryk Maziejuk
Jan Maziejuk

CMENTARZ UNICKI W TEREBELI

CMENTARZ UNICKI W TEREBELI

Henryk Maziejuk
Jan Maziejuk

Cmentarz unicki w Terebeli

Pamięci naszych Rodziców
Franciszka Maziejuka
i Bronisławy Maziejuk
z domu Ceniuk

Jagodnica 2006

Wydano nakładem autorów

Podziękowanie
Autorzy dziękują serdecznie za wskazówki, uzupełnienia, pomoc i konsultację ks. mgr Czesławowi Maziejukowi z Białej Podlaskiej i Pani inż. dr arch. Elżbiecie Szalewskiej ze Słupska, która ponadto wykonała rysunek rekonstrukcyjny szkicu cerkiewki i dawnej zabudowy wsi Terebela.

Tekst, zdjęcia i reprodukcje
Henryk Maziejuk
Jan Maziejuk

Projekt okładki
Skład komputerowy
Artur Wróblewski

Wydanie I.
Nakład 100 egz.

Copyright by Henryk Maziejuk i Jan Maziejuk

ISBN 83 - 923458 - 0 - 0

Jagodnica 2006

Druk
„BOXPOL", ul. Wiejska 28
76-200 Słupsk

Wstęp

Nawet trwałe ślady przeszłości zacierają się szybko. Jeżeli dla ich utrwalenia nie robi się nic, albo bardzo niewiele. Pozostawiają po sobie tylko kontury, bądź znikają całkowicie. Podobnie rzecz się ma z dawnym cmentarzem unickim w Terebeli opodal Białej Podlaskiej.

Terebela, kiedyś znana jako Tereby, jest starą wsią, która pierwotnie należała do włości bialskich książąt Radziwiłłów. Cmentarz, będący miejscem pochówku tutejszych parafian, także odznacza się długą historią. Niestety, zapomnianą, nieznaną, która również i teraz odchodzi w niepamięć. Za sprawą współczesnych mieszkańców wsi, nieświadomych trudnej historii swoich przodków. Zabrakło także reakcji tych, którzy stąd wyemigrowali, zdobywszy wykształcenie i zawód, wyzbywając się swych powinności wobec rodzimej wioski. Jednak w końcu - chwała im za to - znaleźli się ludzie z inicjatywą, którzy zdobyli się na uporządkowanie i upamiętnienie tego szczególnego miejsca.

Nie zrobiono jednakże tyle, ile by można i należało, aby przywrócić potomnym pamięć i wiedzę o przeszłości terebelskich unitów, stanowiących przecież cząstkę tego wszystkiego, co działo się przed wiekami na Podlasiu. Pamięć ludzka, jak się nam wydaje, nie powinna okazać się krótka i wątła wobec terebelskich unitów.

Autorzy tej publikacji - późno, bo późno - także uświadomili sobie, iż mają ważki powód, aby podjąć ten właśnie temat. A to dlatego, że na terebelskim cmentarzu unickim spoczywają prochy - ze strony Ojca - również ich przodków.

Rozdział I

Ludzie silnego ducha

Jadąc przycmentarną drogą, kiedyś gruntową, od wielu już lat asfaltową, wtedy i teraz ruchliwą, obcy dostrzegali dotąd jedynie kępę drzew i krzaków. Nie zauważali niczego, co by mogło ich zainteresować. Od kilku lat widzą jednakże coś, co może ich zastanawiać, a nawet intrygować.

Uprzednio zdziczały i opuszczony, zaniedbany – teren ten został uporządkowany i ogrodzony siatką. Stało się to głównie wskutek inicjatywny Arkadiusza Maziejuka, syna Zofii i Zygmunta, który wykazał się troską o to szczególne miejsce. Przedstawia się ono obecnie niewspółmiernie lepiej niż przed laty.

Na zapomnianym cmentarzu stanął dębowy krzyż, powstała –widziana z drogi, tak bardzo charakterystyczna – kamienna grota z figurką Matki Boskiej Fatimskiej. Pojawiły się ławki, na których można spocząć i zmówić modlitwę. Czasem odbywają się tutaj Msze święte, celebrowane przez księży z parafii bł. Honorata w Białej Podlaskiej, do której należy Terebela. Płoną znicze, trwają modły.

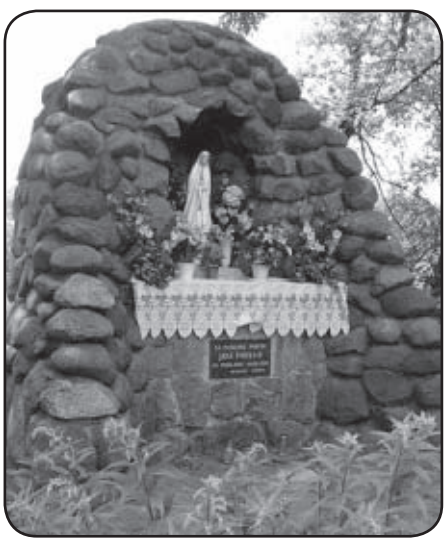

Kamienna grota z figurką Matki Boskiej Fatimskiej stanęła na dawnym unickim cmentarzu w Terebeli.

Widniejąca na grocie tablica informuje, że zbudowano ją na pamiątkę pobytu 10.06.1999 r. Jana Pawła II na Podlasiu. Ładny to gest. Byłoby wszak dobrze, gdyby również – w tym miejscu albo gdzieś obok – znalazł się napis mówiący w krótkich słowach, iż znajduje się tutaj dawny cmentarz unicki, a jeszcze lepiej – coś o cerkwi, jaka stała nieopodal.

Stare krzyże unickie, których ciągle ubywa, ginęły stopniowo

wśród zarośli. Gnijąc ze starości, zmurszałe, padały, ale były czyjąś troskliwą ręką podnoszone i – już mniejsze, bardziej leciwe – stawiane ponownie.

Nowe już się nie pojawiały. Co bardziej uważni obserwatorzy, spoza mieszkańców tej wsi, dostrzegali albo tylko domniemywali, że w gęstwinie tej znajduje się stary cmentarz. Stary i opuszczony. Lecz – zastanawiali się również – skąd tu cmentarz, jeżeli w najbliższym otoczeniu tego terenu brakuje świątyni?

Tutejsza ludność zachowała przynajmniej w szczątkowej postaci – przenoszoną z pokolenia na pokolenie, wprawdzie wciąż słabnącą, ale jednak żywą – historyczną pamięć o tym cmentarzu. Na nim bowiem spoczywają szczątki i prochy przodków wciąż jeszcze znacznej części współczesnych mieszkańców Terebeli.

Świadomość ta stała się pełniejsza i wyrazistsza od tej, jaka była w PRL, kiedy panowało publiczne milczenie wokół unitów i zmagań ich z hierarchią prawosławną i władzą carską, że oni wbrew zaborcom, a więc Rosji, uporem woli trwali na Podlasiu przy Polsce i wierze swoich ojców. W tamtym okresie nie robiono nic, co by utrwalało i podtrzymywało dziejową prawdę.

My, autorzy tej publikacji, byliśmy ściśle związani z Terebelą. Pochodzimy z Jagodnicy, sąsiedniej wioski, która utrzymywała zawsze bliskie kontakty z Terebelą. O tym cmentarzu nie mówiło się jednak inaczej, niż jako „ruski". Niektórym nasuwała się wątpliwość, że skoro stoją tu krzyże katolickie, a nie prawosławne, to jak cmentarz taki może być „ruskim"?

O tym ukrytym w zaroślach i drzewach cmentarzu mówiło się długo, że on „ruski"...

Znaliśmy go dobrze od dzieciństwa. Często zaglądaliśmy tam, depcząc być może groby bliskich, nieświadomi związków z tym cmentarzem. Właśnie tędy, obok starego cmentarza chodziliśmy na pole i w

sezonie pastwiskowym pędzaliśmy krowy na wspólny wypas. Bydło pasło się wtedy w stadzie na łąkach „Błota" i „Kruhowina". Widzieliśmy jak ten cmentarz stawał się coraz bardziej opuszczony i porastający na dziko krzewami, drzewami i zielskiem. W dużym stopniu przyczyniła się do tego wojna.

Przez skrawek tego terenu, jak przez całą wioskę, przetoczył się z łoskotem sowiecko-hitlerowski front. Niemcy zlokalizowali tutaj swe stanowiska bojowe. Padły na cmentarz rosyjskie kule, wjechały czołgi, żłobiąc gąsienicami głębokie bruzdy. Ślady kul i rozrywających się moździerzy, artyleryjskich pocisków, wyryły się na krzyżach i drzewach.

Wtedy stało tutaj jeszcze wiele krzyży, także - chociaż rzadko - cementowe i żelazne. Były figurki i trudne do odczytania nagrobne tabliczki. Nieliczne mogiły były zadbane i uprzątnięte, inne porastały bujnie kwiatami. Czasem były wieńce, płonęły świeczki i znicze. Najczęściej jednak mogiły były ledwie zarysowane lub całkowicie zrównane z ziemią, porastające gęsto barwinkiem i chwastami. Teren nie był ogrodzony, jeśli pominąć resztki poukładanych polnych kamieni.

Brakowało pomników, czy też płyt nagrobnych, a jedynie niektóre mogiły obramiały kamienie. Nie było niczego, co by przypominało współczesne wiejskie cmentarze. Któż zresztą mógłby pozwalać sobie na bogate utrwalanie pamięci o zmarłych? Terebelę, jak inne podlaskie wsie, zamieszkiwali ludzie prości i ubodzy. Najpierw chłopi pańszczyźniani i dworscy najemnicy, wyrobnicy, a potem włościanie, też przecież zmagający się z nędzą. Jakie życie, taka śmierć - i cmentarne spoczywanie. Byli to jednakże ludzie bogobojni i pracowici, rzetelni, przywiązani do tradycji. Ludzie silnego ducha.

Rusińskie korzenie

Skąd wzięli się unici w Terebeli? Na tak proste pytanie, odpowiedź bynajmniej nie jest łatwa. Brakuje archiwalnych dokumentów, na które można by się powołać. Nie ma nawet pewności skąd wzięli się dawni mieszkańcy Terebeli, podobnie jak innych wsi na Podlasiu.

Od bardzo dawna tereny te porastały przepastnymi borami,

lasami tworzącymi w przeszłości wielką puszczę. Karczowanie lasów, mające zapewnić uzyskanie gruntów pod uprawy rolne, odbywało się jeszcze w wieku XV, a nawet później. Zapuszczali się w te trudnodostępne okolice bartnicy, myśliwi i poszukiwacze leśnych zasobów.

Tropiąc historię, można by stwierdzić, że - jak to bywało na pograniczu regionów - od bardzo dawna ścierały się tutaj wpływy różnych ludów, kultur i religii. Od zachodu i południa napierali Polacy, od

Zwyczaje, stroje, nazwiska, język ludu, regionalne budownictwo wiejskie, charakter pracy i otaczający pejzaż mają na Podlasiu bardzo dużo wspólnego z tym, co było na Polesiu.

wschodu Rusini, a od północy Litwini. A do tego wdzierała się na te tereny także ludność zamieszkująca pobliski Wołyń.

Jak na całym Podlasiu, tak i tutaj zrodził się wskutek tej mieszaniny własny język, zwany chachłackim, będący mieszanką narzeczy polskich, rusińskich i ukraińskich. Był on bardzo długo używany powszechnie, także jeszcze w okresie naszego dzieciństwa posługiwali się nim najstarsi ludzie. Niektórzy z mieszkańców wsi ciągle go znają i rozumieją. Jest to już jednak archaizm, rodzaj językowej skamieliny, która wzbudza wszak zainteresowania językoznawców, gotowych go zrekonstruować i odtworzyć.

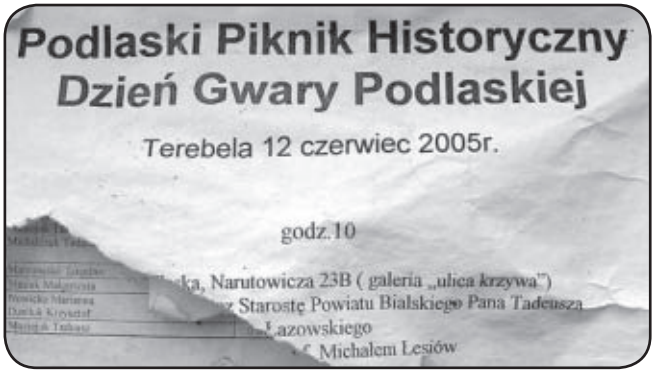

Gwara chachłacka, tutaj poprzez wieki powszechnie używana, przeszła do historii, jednak wzbudza wciąż zainteresowanie.

W te „leśne ostępy", pierwotnie zamieszkiwane z rzadka, zapuszczały się chętnie - ryzykując małe prawdopodobieństwo krwawego odporu - zagony tatarskie i kozackie. Zapuszczali się również Jaćwingowie i Krzyżacy. Tędy prowadziły szlaki wojennych zmagań, żołnierskich przepraw i handlowych taborów, znaczone często krwią i przemocą. Lecz jednocześnie sprzyjało to mieszaniu się ludzi. Ziemia ta, można by tak określić, znajdowała się długo w strefie dziejowych przeciągów.

Zachowało się jednak bardzo niewiele dokumentów i archiwalnych śladów, które by potwierdzały historyczną przeszłość Terebeli. Wiadomo tylko, że te rozległe tereny, obejmujące również Terebelę, wchodziły w skład włości magnackich książęcego rodu Radziwiłłów, których własnością - wraz z okolicą - była także Biała, nie przypadkiem zwana Książęcą lub Radziwiłłowską. Ród ów odcisnął trwały ślad na przeszłości tego miasta i regionu.

Na podstawie zapisów, także zresztą analogii, zakładać można z dużym prawdopodobieństwem, że rodowód większości dawnej ludności zamieszkującej Terebelę oraz inne wioski podlaskie był rusiński; co wcale nie oznacza, że rosyjski. Jesteśmy więc, chcemy tego czy też nie, z pochodzenia - uwzględniając swoich dalekich przodków - Rusinami. Tego właśnie pnia sięgają również nasze rodzinne korzenie.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że walka o przyszłość podlaskiej ziemi, a lepiej powiedzieć jej narodową przynależność, rozgrywała się długo i krwawo głównie między wpływami polskimi i rosyjskimi. Te pierwsze, jak wiadomo, były jednoznacznie kojarzone z katolicyzmem, a drugie - z prawosławiem.

W okresie istnienia dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która będąc potęgą przestrzegała zasad tolerancji religijnej, oba te wyznania były traktowane równoprawnie. Jakkolwiek im bardziej na wschód, tym większe wpływy miało prawosławie, podczas gdy na zachodzie dominował jednoznacznie katolicyzm. Nie oznacza to jednak, że między Kościołami tych wyznań panowała idylla i całkowita zgoda, bo mimo wszystko dochodziło do sporów i przetargów.

Zniknęły już – i ciągle znikają – dawne terebelskie chałupy. Im starsi byli ich mieszkańcy, tym bardziej znali z autopsji trudne unickie doświadczenia.

Przełomowym wydarzeniem było utworzenie w 1596 roku w Brześciu nad Bugiem – podczas odbywającego się tam Synodu Zjednoczeniowego – Unii Brzeskiej. Powzięte postanowienia pozwalały wiernym z terenów wschodnich przyłączyć się dobrowolnie – dotychczas wyznającym prawosławie – do Kościoła rzymskokatolickiego, a więc łacińskiego, by razem z nim na powrót tworzyć jeden Kościół Chrystusowy, który od 1054 roku uległ podziałowi.

Odbyło się to za zgodą Stolicy Apostolskiej, z inicjatywy biskupów prawosławnych. Przystępując do Kościoła unickiego obrządku wschodniego, zwanego greckokatolickim, wierni wyrażali chęć i zgodę na jedność w wierze z kościołem rzymskokatolickim. Uznali papieża za widzialną głowę tego Kościoła. Przyjęli wszystkie dogmaty katolickie, otrzymując pewne przywileje. Zachowali obrządek wschodni i wschodnią liturgię, język prasłowiański, dotychczasową organizację kościelną, prawa i używanie kalendarza juliańskiego.

Wskutek zgodnego współistnienia obrządku łacińskiego i greckokatolickiego, unici przyjmowali z czasem również łacińskie obrzędy

liturgiczne, modlitwy, nabożeństwa i zwyczaje, jak chociażby różaniec, godzinki, czy drogę krzyżową. W ich świątyniach pojawiły się konfesjonały, ławki, dzwonki i organy, nie stosowane w prawosławiu. Następowało to jednak dopiero później.

Z nowej możliwości skorzystali w pierwszym rzędzie dawni prawosławni mieszkańcy Podlasia. Za znamienne uznać należy, że do Unii Brzeskiej przystąpiły wszystkie parafie prawosławne znajdujące się po lewej stronie Bugu. Uczyniły to natychmiast, kiedy tylko zaistniała taka możliwość.

Zareagowały tak również parafie istniejące w obrębie wpływów bialskiego grodu. Wiązało się to m.in. z ówczesnym właścicielem Białej, a więc także podległych mu wiosek. Książe Mikołaj Krzysztof Radziwiłł wziął bowiem aktywny udział w brzeskim Synodzie Zjednoczeniowym, występując w roli polskiego posła królewskiego. Jako szczery katolik - łaskawie i życzliwie odniósł się do postanowień Unii Brzeskiej.

Rzym bliższy niż Moskwa

Cóż takiego było w Unii, że tak chętnie i gremialnie garnęły się do niej prawosławne parafie? Zapewne, jak można się domyślać, wynikało to głównie z nastawienia wiernych, którzy bardziej woleli podlegać pod katolicki Rzym, czyli papiestwo, aniżeli pod prawosławną Moskwę, to jest cara będącego zwierzchnikiem prawosławia. Wiązało się to również z większymi polskimi wpływami, które z wielu powodów były im bardzo atrakcyjne. Uwzględnić trzeba by także, że unici, jak tego chcieli, uzyskali za zgodą Watykanu prawo zachowania dotychczasowej liturgii, cerkiewne śpiewy i wschodnie obrzędy, kryjące

Jeszcze wiek temu kolędowanie było na Podlasiu żywym i barwnym obrządkiem religijno-świeckim. Reprodukcja z Kuriera Polskiego z 1905 roku „Kolędnicy".

Usiąść na ławeczce przy ścianie drewnianej chałupy, do ręki wziąć różaniec i spędzić bogobojnie jakiś czas – to ginący już widok, jeszcze niedawno typowy dla tego regionu.

w sobie wiele wzniosłości i tajemnic, teatralności, co pozwalało im utrzymywać w starym stylu charakter nabożeństw. Zatem, by tak rzec, był to kościół w treści zachodni, łaciński, ale wschodni w formie. Zachowywało się przy tym, jak w prawosławiu, prawo unickich księży do zawierania małżeństw i zakładania rodzin. Księży unickich nie obowiązywał więc celibat.

Terebela, jak wspomnieliśmy, wchodziła początkowo w skład radziwiłłowskiej ordynacji. Powstała jako wieś pańszczyźniana, podległa dobrom ciciborskim, które były uformowane w odrębny folwark. Jak długo to trwało, tego dokładnie nie wiadomo, ponieważ układ właścicielski Cicibora ulegał zmianom, co wpływało również na los Terebeli.

W radziwiłłowskich dokumentach istnieją zapisy dotyczące zarówno opieki możnego rodu nad budową bialskiego klasztoru ojców bazylianów, który odegrał kluczową rolę w szerzeniu unickiej wiary w tej części Podlasia, jak i udzielania mu pomocy bytowej. Znajdują się w nich także odniesienia dotyczące Terebeli. I tak książę Karol Stanisław Radziwiłł 30 stycznia 1787 roku wypuszcza ojcom bazylianom we władanie folwark Cicibór „z karczmami w Terebeli i Ciciborku".

Cicibór miał unicką cerkiew i parafię. Cerkiew ta wpierw mogła być zresztą prawosławna, a do której – być może – należała pierwotnie Terebela. Później, jakby domniemywać należało, Terebela dorobiła się swojej cerkwi. Od razu unickiej? Tego nie udało się nam dociec. Wiadomo natomiast, że terebelską świątynię ufundowała księżna Aleksandra, żona Marcina Mikołaja Radziwiłła, żyjącego w latach 1705–1782.

Kiedy dokładnie to się stało, tego też nie wiemy. Patronką cer-

kiewki była unicka męczennica św.Prakseda. W ołtarzu Świątyni - malowany na płótnie - znajdował się wizerunek Najświętszej Marii Panny Żyrowickiej, słynącej szeroko z łask, której adorowali od dawna książęta Radziwiłłowie.

Wiele wskazuje jednak na to, że terebelska cerkiew mogła powstać wcześniej. Wynika to chociażby z wileńskich zapisów archiwalnych, dotyczących posadowienia cerkwi w Łukowcach. Zapisano w dokumentach, że książę Karol Stanisław Radziwiłł, podkanclerzy Wielkiego Księstwa Litewskiego, zbudował w 1695 roku nową cerkiew pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża dla grekokatolików we wsi Łukowce. Poza Łukowcami do nowo powstałej parafii unickiej przyłączył także sąsiednie wioski, Sitnik i Worgule. Zostały one odłączone od dotychczasowej ich parafii w Terebeli. Z powodu - jak napisano - znacznego oddalenia tych trzech wiosek od

Matka Boska Żyrowiecka jest świętą ikoną kościołów wschodnich - prawosławnego i unickiego. W latach trzydziestych była czczona także w kościele katolickim. Jej wizerunek znajduje się na sztandarze Szkoły Rolniczo - Leśnej w Żyrowicach z roku 1934.

Legenda o tym wizerunku głosi, że Matka Boska ukazała się na gruszy dzieciom pasącym bydło jako obrazek wyryty na kamieniu w roku 1470. Jego kopia znajduje się w Watykanie jako Madonna del Pascolo (Madonna z pastwiska).

Terebeli, do której prowadziły trudne do przebycia błotniste drogi.

Wnosić z tego wolno, że terebelska cerkiew istniała już przed 1695 rokiem, i to sporo wcześniej, wobec czego – jak łatwo przypuszczać – zbudowała ją nie księżna Aleksandra z Bełchackich, a księżna Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa.

Przypuszczać można także, że fundatorem cerkwi i parafii unickiej w Terebeli mógł być najmłodszy syn Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, zwanego „Sierotką", który żył w latach 1549 – 1616, Aleksander Ludwik Radziwiłł.Za tą tezą przemawia protokół wizytacyjny z 21.08.1726 roku. Chełmski Konsystorz Grekokatolicki, co potwierdzają akta znajdujące się w Archiwum Państwowym w Lublinie, mówi, że fundatorem cerkwi i parafii unickiej w Terebeli był właśnie najmłodszy syn „Sierotki" Aleksander Ludwik Radziwiłł.

Rozwikłanie tej zagadki zostawmy historykom. Sądzimy, iż byłby to dobry temat na studencką pracę magisterską czy nawet doktorską.

Stodoła jakby rodem ze skansenu. Z przybudówką na opał, głównie torf, a za nią psia buda, wialnia i siewnik konny...

Rozdział II

Gdzie stała, jaka była?

Zachował się szkic terebelskiej cerkwi, z którego wynika, iż była ona niewielka, a kształtem nie odbiegała od budowanych zwyczajowo tego typu świątyń. Uwzględniając rozmiary, nazwać by ją można bardziej kaplicą, aniżeli kościołem. Sporo informacji na jej temat zaczerpnąć można z zapisu pokontrolnego diecezjalnej wizytacji. Parafia unicka w Terebeli podlegała pod diecezję we Włodzimierzu Wołyńskim.

Zapis pochodzi z roku 1726. A to oznacza, że wtedy na pewno już istniała i miała wyznawców cerkiew w Terebeli. Była to – jak wynika z zapisu – „cerkiew drewniana, półstała, formą okrągła". Co znaczy „półstała"? Tyle, że była posadowiona na fundamentach z cegły lub kamieni. A może nie „półstałą" a „półstarą"? Czy rzeczywiście była „formą okrągła"?

Szkic terebelskiej cerkiewki, jaki sporządził w roku 1778 geometra Leonard Targoński nie pokrywa się z tą informacją. Trudno by przysięgłego geometrę posądzać o pomyłkę lub niedokładność. Czyżby więc cerkiew, którą on widział i z wprawą architekta naszkicował, była już drugą, jaka stała w Terebeli? Za tamta, jaką opisał diecezjalny wysłannik pierwszą? To całkiem prawdopodobne, ponieważ sporządzenie obu zapisów dzieli okres przekraczający 50 lat! W tym czasie mogło się wiele zmienić, gdy idzie o tego rodzaju budowlę. Poprzednia cerkiewka, bo była przecież z drewna, mogła spłonąć albo się zawalić. Pierwsza cerkiew, jak wiele na to wskazuje, mogła być starsza, co zostało już wcześniej zasugerowane.

Co jeszcze wiadomo o cerkwi, jaka stała przed laty w Terebeli? A to, że – jak wynika ze wspomnianego dokumentu – na cerkwi była „kopuła z krzyżem, dach gontowy zwiedziony". I dalej tak: „Dzwonnica na babińcu pod dachem przestarzałym, gontowym, z krzyżem żelaznym... W czele, przy ścianie, ołtarz wielki na zrębie, z ołtarzem Najświętszej Panny, z wierzchu obraz duży na płótnie Najświętszej Panny Żyrowickiej... Za wielkim ołtarzem zakrystia pustuje".

Wyjaśniliśmy dawne nazwy, które wyszły w międzyczasie z

użytku. Co mieści się pod pojęciem „na babińcu"? Zygmunt Gloger w opracowanej przez siebie „Encyklopedii staropolskiej" zaznacza, iż babiniec, to „przedsionek kościelny, w którym baby żebrzące siadują, zwany inaczej kruchtą".

I dlatego w opisie tej cerkwi znajduje się także następujący ustęp: „Do nawy przystawiona zakrystia. Dach nawy dwuspadowy, zwieńczony wieżyczką z krzyżem. Analogiczne zwieńczenie nad babińcem". Potwierdza to stary rysunek.

Pochodzący z roku 1778 rysunek geometryczny Leonarda Targońskiego przedstawia nie istniejącą już w Terebeli cerkiew.

Rekonstrukcyjny rysunek dawnej cerkiewki w Terebeli, wykonany przez inż. dr arch. Elżbietę Szalewską.

Wróćmy do opisu inwentarza z 1726 roku, jaki powstał wskutek wspomnianej lustracji diecezjalnej. Zapisano tam, że „drzwi do babińca były na biegunach", zaś w babińcu „posadzki nie masz". Z kolei „drzwi do cerkwi" były z „zawiasami, zamknięciem wnętrznym i łańcuchem wielkim".

Następnie tak: „Posadzki chóru, kryłosu, kratek, ani bezkusa nie masz”... „Okien wielkich było sześć, trzy z nich w połowie, a trzy do szczętu powybijane”.

Znowu trzeba rozszyfrować, co oznaczają stare nazwy. Otóż „kryłos”, to małe podwyższenie prowadzące na chór, zazwyczaj mające około jednego metra, znajdujące się po prawej stronie ikonostasu. Kryłos, ponieważ znajdował się na podwyższeniu, był zabezpieczany kratkami.

Informacje i uwagi dotyczące terebelskiej cerkwi - o których będzie jeszcze mowa - zawdzięczamy ks. mgr Czesławowi Maziejukowi z Białej Podlaskiej, rodakowi tej wsi, który odszukał je w archiwum bialskiego dekanatu.

Jak można by więc wnioskować, była to cerkiew uboga i w części zaniedbana. Utrzymana w niezbyt dobrym stanie. Z winy mało troskliwego gospodarza i opiekuna, czy dlatego, że wiernych było mało i byli oni ubodzy?

Pamiątki i ślady dawnego cmentarza unickiego, jakie jeszcze się zachowały. Zmurszałe krzyże, stojące lub już leżące na ziemi, w których tkwią ciągle zżarte rdzą gwoździe kowalskiej roboty...

Zapis powizytacyjny, poświęcony w części cmentarzowi, potwierdza, że jego stan pozostawiał wiele do życzenia. „Cmentarz -

zapisano tam – miejscami oparkaniony, ku ruinie bliski, z jedną boczną wycieczką"; to jest bramą. Przypisując opiekunowi brak gospodarności, wizytator diecezjalny zaznaczył, że „parkan cmentarny zrujnował..."

Zawodna ludzka pamięć

Trudno ustalić dokładnie, gdzie stała terebelska cerkiew. Czas zatarł ślady. Zaistniała rozbieżność między tym, co wynika ze szkicu zabudowy dawnej Terebeli, jaki sporządził w 1778 roku Leonard Tar-

Gdzie stała terebelska cerkiew: tutaj czy tutaj?

goński, a tym co zostało we fragmentach zapisane w zbiorowej pamięci mieszkańców tej wioski. Czyżby autor odręcznego szkicu miałby okazać się mało precyzyjny? To raczej niemożliwe.

Leonard Targoński usytuował cerkiewkę w narożniku – patrząc od strony wsi – bialskiego gościńca i wygonu, prowadzącego wtedy – jak i obecnie – w stronę torfowiska „Błota". Stąd było blisko do cmentarza, też zresztą zaznaczonego na szkicu.

Tymczasem tradycja lokuje istniejącą w przeszłości cerkiew po stronie północnej cmentarza. Na zachód od gościńca, gdzie obecnie znajdują się grunty orne. Z trudem wypatrzyć tam można lekkie wzniesienie, na którym stać miała jakby owa świątynia. W pobliżu miejsca, na którym Czesław Maziejuk stawia od wielu lat foliowe namioty ogrodnicze.

Domysły wynikały stąd, że podczas orki pług wydobywał z ziemi fragmenty cegieł oraz kamienie i resztki murarskiej zaprawy. Sugerować to miało, iż chodzi o pozostałości dawnej cerkwi. Jednak w rzeczywistości, co wynika z innych opowieści, stać miał tutaj obok plebani murowany przytułek z jakiegoś rodzaju ochronka dla dziadów kościelnych.

Uważało się też, że cerkiew stała na wzgórku znajdującym się na polu Walaska, które uzyskał on w wyniku dokonanej w 1935 roku parcelacji terebelskiego folwarku. Teraz znajduje się tam inny obiekt. Wieść gminna kojarzyła to przypuszczalnie z potoczną nazwą znajdującego się w pobliżu terenu określanego „popówką", który kiedyś użytkowany był przez unickiego księdza. Inna sprawa, iż byłaby to - w bliskim sąsiedztwie wioski i obok rowu o charakterze rzeki - rzeczywiście atrakcyjna lokalizacja.

Lecz to fałszywy trop. W tym właśnie miejscu, co znajduje potwierdzenie na mapce Leonarda Targońskiego, stała karczma. Nic więc dziwnego, że podczas sporządzania wykopu pod nowy budynek znajdowano tam dawne monety, uszkodzone sztućce, potłuczone talerze, garnki i kieliszki.

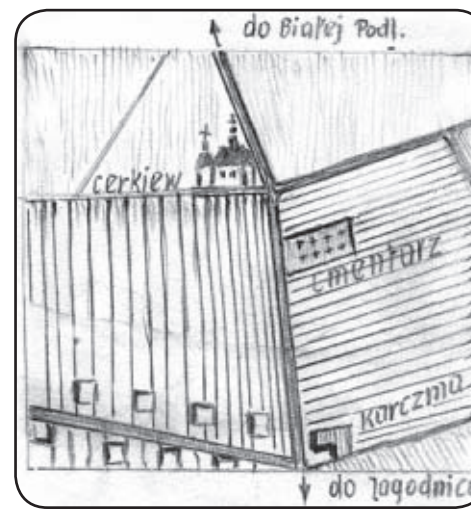

Leonard Targoński umieścił na swoim szkicu stojącą jeszcze wtedy cerkiew między bialskim gościńcem a wygonem prowadzącym na „Błota".

Józef Maziejuk, na którego się powołujemy, mając w pamięci opowiadania dziad-

ków mówi, że w Terebeli była też druga karczma, co wydaje się jednak mało prawdopodobne. Ta druga stać miała u wylotu wspominanego wygonu na łąkę „Błota", czego L.Targoński nie potwierdził.

Brakuje też pewności, kiedy i jak zniknęła unicka świątynia w Terebeli. Jeżeli są gdzieś dokumenty, które by to wyjaśniły, to dotychczas nie zostały one odkryte. Nie ma więc źródłowych materiałów na ten temat. Z ustnego przekazu, jaki utrzymywał się bardzo długo, a wspominał tym również Józef Maziejuk, człowiek leciwy, ale o dobrej pamięci, wynika, iż cerkiew została spalona. Przypisuje się to zbuntowanemu oddziałowi kozackiemu z czasów buntu Bohdana Chmielnickiego, który zapuścił się aż tutaj. A tego nie da się wykluczyć.

Na przykład w Hrudzie

Los podlaskich unitów był wyjątkowo trudny. Początek powstania unitów był optymistyczny i zapowiadał pełną nadziei przyszłość. Unitom odpowiadał obrządek wschodni, ale łaciński w formule, ze staroruskim językiem. Podporządkowanie się wyznawców dawnych prawosławnych katolickiej wierze niczego złego nie wróżyło. Unici byli pewni, że dokonali szczęśliwego wyboru wyznania. Ufali, że idą dobrą drogą.

Tak było dopokąd Polska nie zaczęła tracić na znaczeniu. Tracić samodzielność i niepodległość. Rozumna polityka wyznaniowa dawnej Rzeczypospolitej załamała się kompletnie, gdy doszło do rozbiorów.

Kiedy jej wschodnie ziemie zaczęły dostawać się w ręce zaborców carskiej Rosji, unici znaleźli się pod natarczywym i dotkliwym naciskiem prawosławnych władz carskich i carskiej administracji, od których przecież uciekli. Władze carskie uważały bowiem, że Unia została wprowadzona podstępem i przeciwko ich interesom. W ich mniemaniu nie mógł liczyć się poważnie samodzielnie dokonany wybór wiary przez ciemny lud. A naprawdę chodziło zaś o to, że prawosławie było skutecznym i wypróbowanym narzędziem rusyfikacji, zniewalania oraz wynaradawiania rusińskiej ludności, która wbrew carowi w części związała się świadomie z Polską.

Carska polityka przysporzyła unitom na Podlasiu, zwłaszcza w południowej części, bardzo wielu bolesnych i przykrych, często wręcz

dramatycznych doznań. Szczególnie po upadku Powstania Styczniowego z 1863 roku, które cieszyło się na tym terenie dużą sympatią i poparciem. Nacisk carskich urzędników, wojska i żandarmów, wspierających siłą prawosławnych duchownych w ich wysiłkach na rzecz powrotu do dawnej wiary, wzrosły wtedy i przybrały jawną walkę z unitami. Szczególnie przed 1874 rokiem i po nim. W tym czasie – zgodnie z przyjętym postanowieniem – miało nastąpić całkowite i bezwarunkowe przejęcie unitów przez prawosławie. Wtedy doszło do apogeum tych dążeń i dramatycznych prześladowań.

Sądzić by można, że w Terebeli naciski te nie były tak dotkliwe i trudne do zniesienia, jak gdzie indziej. Brakuje jednakże dowodów, które by potwierdziły tę tezę. Nie zachowały się żadne dokumenty, zapiski czy wspomnienia, przedstawiające sytuację, w jakiej znaleźli się terebelscy unici.

Natomiast w bardzo wielu parafiach unickich tej części Podlasia, a dokładnie aż 53, rozegrały się w tym czasie dramatyczne wydarzenia. Takie, które poruszyły do głębi ludzkie sumienia i wywołały oburzenie Europy. Drastyczne sceny rozegrały się także w wielu miejscowościach leżących w pobliżu Terebeli.

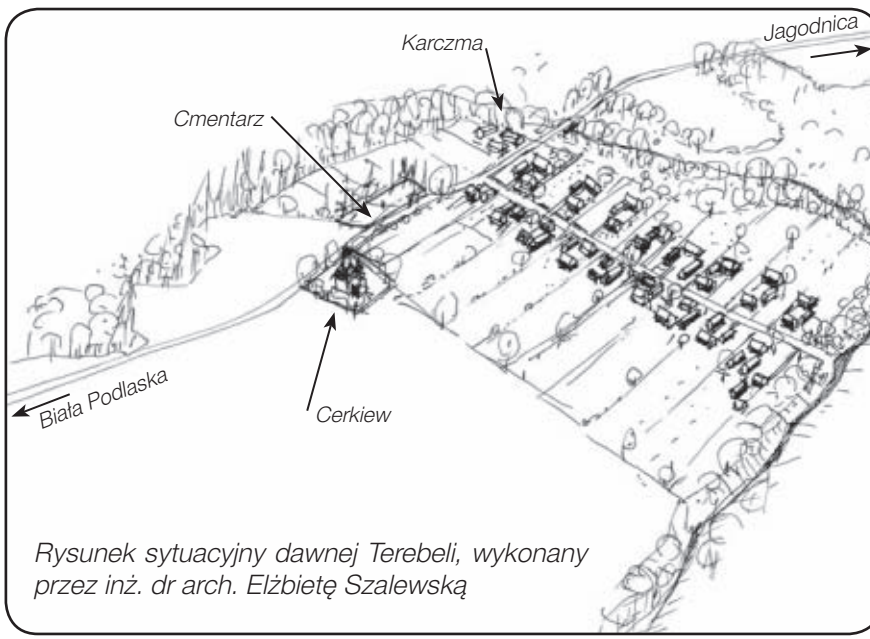

Rysunek sytuacyjny dawnej Terebeli, wykonany przez inż. dr arch. Elżbietę Szalewską

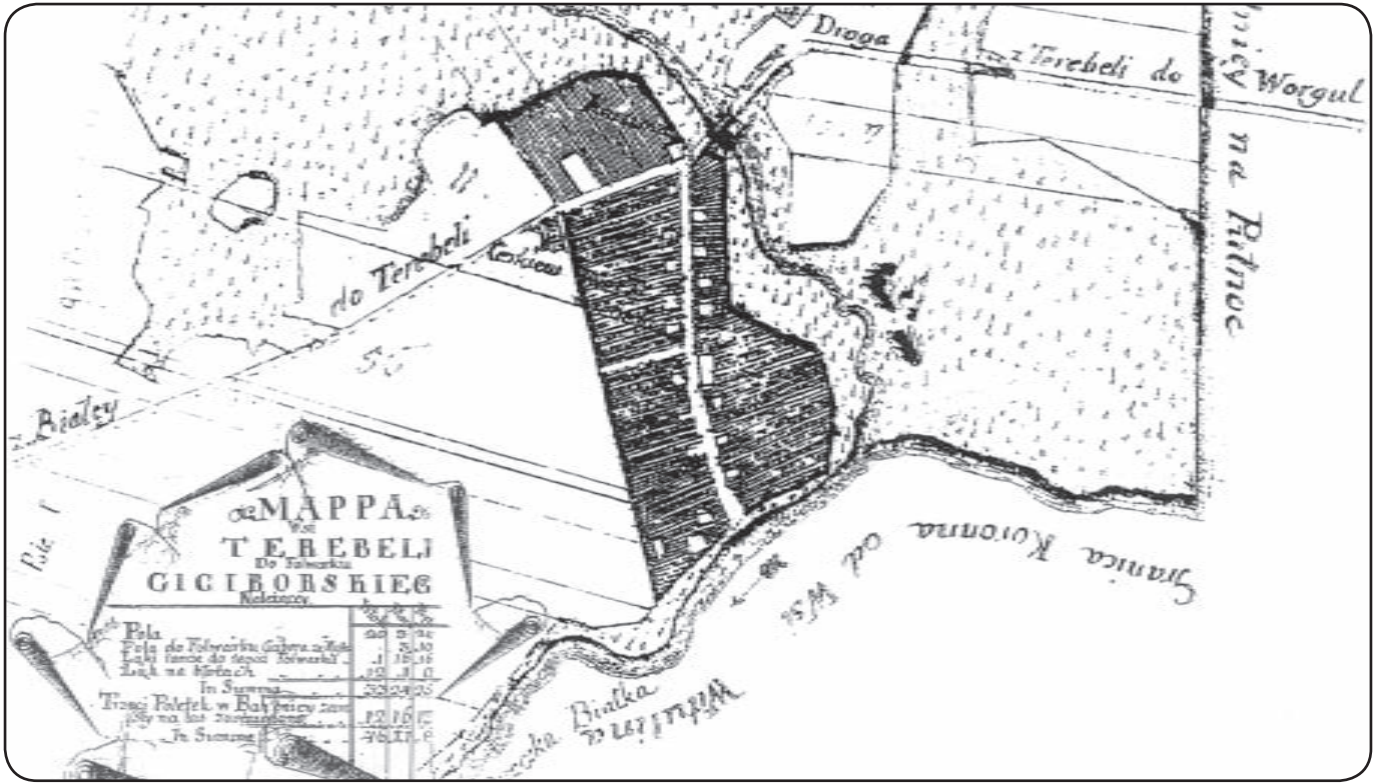

Usytuowanie dawnej wsi Terebela, jakie na odręcznej mapce naszkicował geometra Leonard Targoński, pozostało aktualne dotąd, chociaż jej zabudowa zmieniła się w międzyczasie całkowicie. Po sąsiedzku – na północ Jagodnica, na wschodzie miasto Biała, na zachodzie – Sitnik i Worgule, a dalej na północnym wschodzie, za rzeką Klukówka, zwaną też Białką, wieś Hrud...

Na przykład w Hrudzie. Niemalże zaraz - patrząc od Terebeli - po drugiej stronie rzeki Klukówka zwanej też Białką. Była tutaj nieduża unicka parafia, której wierni wykazali się silnym przywiązaniem do wiary ojców. Podczas rozpoczętej 13 października 1878 roku, a trwającej cztery dni, misji sprawowanej przez Jezuitów do spowiedzi i komunii świętej, jak dowodzą zapisy, przystąpiło w Hrudzie aż 400 unitów. A odbyło się to nielegalnie, ponieważ cerkiew była wtedy już zamknięta.

Pomimo, że parę lat wcześniej, gdyż w 1871 roku, pięciu mieszkańców tej wioski, najbardziej żarliwie i energicznie wzbraniających się przed przejściem na prawosławie, zostało skatowanych i wywiezionych w głąb Rosji; skąd już nie powrócili. Byli to: Onufry Tomczuk, Józef Połynka, Piotr Tomczuk, Gabriel Szucki i Michał Tomczuk. Nie poskutkowały więc ani prośby, ani groźby ani też kary i nawet zsyłka na Sybir.

Unici z Hruda trwali niezmiennie przy wierze ojców i polskości, z którą związali się na dobre i złe; choć praktyki religijne były już zabronione. Zmasowany nacisk i atak wysłanników rządu carskiego i prawosławia odczuli też w 1876 roku. Ks. Józef Pruszkowski, który wniósł nieocenione zasługi dla dokumentowania unijnych zmagań na Podlasiu, pisał m.in. w książce „Martyrologium czyli Męczeństwo Unii Świętej na Podlasiu": „Z Białej przymaszerowały tu 3 roty wojska w miesiącu kwietniu, aby zmusić unitów do ochrzczenia dzieci w prawosławnej cerkwi. Lecz jak tylko kobiety spostrzegły nadciągających żołnierzy /.../, zabrały swoje dzieci i co prędzej pobiegły ukryć się z nimi w sąsiednim lesie".

Twardy upór mieszkańców Hruda, gotowych oddać życie za wiarę i polskość, ujął mocno Władysława Reymonta, wybitnego pisarza związanego z Podlasiem, przyszłego laureata Nagrody Nobla, który w książce pod tytułem „Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki" pisał m.in. tak: „Gdzie się podziały kobiety? - pytało groźnie wojsko, przetrząsające dom po domu. Chłopi milczeli, nie podobna było wydobyć ani słowa. - To poczekamy aż wrócą! - powiedział dowódca i wojsko rozłożyło się po chałupach. Dopiero po śladach zrozumieli, gdzie się schroniły; otoczyli więc lasy patrolami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności".

„Wiosna tego roku - napisał następnie Wł. Reymont - była

dziwnie mokra, zimna i wietrzna; co dzień szły nieskończone szarugi, co dzień wichry z dzikim, rozżartym skowytem spadały na wieś, przelewały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jakoby słyszą w tych jękliwych poświstach bolesne zawodzenia kobiet, płacze dzieci, a nawet mrożące krew wołania konających".

Dzielne kobiety, wykazując niezłomny hart ducha, wytrwały w tych warunkach - wraz ze swoimi dziećmi - 6 tygodni. Wyszły z leśnych kryjówek wychudłe i ogorzałe z zimna, poprzeziębiane. Gdyby nie pomoc mieszkańców sąsiednich wiosek, jacy ukradkiem dostarczali im żywność i ciepłą odzież, kobiety nie byłyby w stanie wytrzymać tego dobrowolnego odosobnienia. Jednakże zadecydowała silna wola i głęboka wiara w Boga.

I to pocmentarne ślady: zmyta przez deszcz i śnieg gipsowana płaskorzeźba „Ostatniej wieczerzy" oraz żelazne wzmocnienie fragmentu krzyża.

„Przez te 6 tygodni wojsko ogołociwszy wieś - pisał ks. J. Pruszkowski - powróciło do Białej, nie dopiąwszy swego celu, a matki z dziećmi wyszły ze swoich kryjówek leśnych..."

Lecz carscy żołdacy potem znowu przyszli do Hruda, włamali się nocą do domu Apolonii Szuckiej, porwali siłą jej liczące ponad 3 lata dziecko, które było już ochrzczone w kościele katolickim, aby zanieść je do księdza prawosławnego do chrztu. To dziecko tak bardzo źle zniosło ów przypadek, że wskutek przerażenia i płaczu rozchorowało się śmier-

telnie i trzeciego dnia zmarło, a Apolonia Szucka, której mąż wcześniej został wywieziony na Sybir, postradała zmysły.

Kara za nieuległą postawę

Naporowi prawosławia i prawosławnych władz carskich, uciekających się do stosowania przemocy i siły, bezprawia, katowania i wymierzania grzywny, stosowania kar chłosty, bicia rózgą i knutem, nie poddawali się także mieszkańcy pobliskich Swór. Ich opór wobec natarczywej i bezwzględnej nagonki za powrotem do prawosławia doprowadzał do wściekłości niektórych duchownych i administrację. Chcąc złamać przeciwników, carscy urzędnicy, zgodnie z wolą imperatora, posłali do wsi – na jej koszt i utrzymanie – rosyjskie wojsko. Zasadniczym powodem tej decyzji, często podejmowanej wobec unickich wiosek, było wymuszenie na rodzicach chrztu dzieci w prawosławnych cerkwiach. Zwłaszcza kobiety nie pozwalały na to.

Utrzymywanie we wsi, nawet dużej, dwóch rot piechoty, trwające w Sworach aż trzy lata, nie załamało religijnej postawy i uporu unitów. Wojsko carskie stanowiło dla Swór ciężar trudny do wytrzymania. Wieś wolała jednak ponosić trudy i tracić dobra materialne, aby tylko pozostawać w dotychczasowej wierze.

Rosyjskie wojsko w 1877 roku opuściło Swory, ponieważ było potrzebne na wojnie z Turkami. Jednakże po jej zakończeniu powróciło ono w 1879 roku do Swór. Znowu spotkało się z wytrwałością i stanowczością unitów, której żołnierze nie byli w stanie zrozumieć i zaakceptować. Lecz wieś była już mocno zrujnowana i wycieńczona.

„Włościanie – pisał wspomniany ks. J. Pruszkowski – orali, siali, zbierali, kosili pod strażą wojska i dla wojska i często na własnych zagonach ustawali, wyczerpani pracą jak w niewoli Faraonów, prosili barbarzyńców, aby już ich wszystkich wysłali na wygnanie, gdzie prędzej zapracują niż u siebie na swoje i swoich dzieci życie".

Mieszkańcy Swór doprowadzeni zostali do skrajnej nędzy. Tak dużej, że kiedy nadeszły święta Bożego Narodzenia w 1880 roku nie byli w stanie zdobyć się na jakąkolwiek ucztę rodzinną. Pospieszyli im z pomocą, czyniąc to w sposób dla wojska niewidoczny, gospodarze z

sąsiednich wiosek, którzy obdarowali ich swoją żywnością. Strażnicy jednak zwęszyli to i nie popuścili, żeby pognębić do końca unitów - zarekwirowali im wszystkie dary, jakie miały trafić na świąteczne stoły. Zabór tego mienia uznali za opłatę zaległej kary, która - podkreślmy - wymierzona została unitom za nieugiętą ich postawę.

Upór unitów, stałych w swej katolickiej wierze, zaczął w końcu imponować wrogom i zmiękczać ich zatwardziałe serca. Ponieważ zagrażało to demobilizacją i demoralizacją stancjonującemu w Sworach wojsku - zaczęło zmieniać jego pobyt tutaj na co dwa miesiące. Aż dotąd, kiedy przyszło opuścić całkowicie osadę, gdyż w chłopskich zagrodach zabrakło zwierząt, zboża i wszystkiego, co można było zarekwirować. Ludzie, w pierwszym rzędzie dzieci, poczęli umierać z głodu. Po zgonie cara Aleksandra II, zdeklarowanego przeciwnika unitów, odwołano wojsko kwaterujące w Sworach, co mieszkańcy wsi uznali za swoje zwycięstwo.

Pozostali niepokorni i niepokonani, kilku unitów przypłaciło to jednakże utratą życia. Zmarł wskutek skatowania w siedleckim więzieniu 65-letni Nicefor Gereło, który osierocił troje dzieci. W więzieniu byli też osadzeni: Izydor Gereło, Grzegorz Sęczyk i Józef Gereło. Pozostawili w zniszczonych gospodarstwach żony i dzieci. Inni spośród mieszkańców Swór, uznani za najbardziej aktywnych i opornych, niebezpiecznych, po odbyciu 5-letniej kary w więzieniu - jak Izydor Gereło, Grzegorz Sęczyk i Józef Gereło - wywiezieni zostali w głąb Rosji, pozostawiając rodziny na łasce losu.

Jakże silna musiała być wiara unitów, którzy nie lękając się zadawanego im bólu, bicia i maltretowania, gnębienia i upokarzania, osadzania w więzieniach i zsyłce na Sybir - nie odstępowali od niej. Uznani zostali nie przypadkiem za bohaterów. A cóż dopiero mówiąc o unitach z Pratulina i Drelowa?

Męczeństwo w Drelowie

Jedni i drudzy - ci z Pratulina nad Bugiem i ci z Drelowa pod Międzyrzecem - zapłacili za unickie ideały cenę najwyższą. Unici z parafii w Drelowie za głośne odmawianie - w swoim przecież kościele -

różańca i koronek oraz śpiewanie pieśni religijnych narazili się carskim urzędnikom i żandarmom, którzy wymierzyli im kontrybucję. Narzucono ponadto karę pieniężną. Oprócz tego wojsko wymogło, aby włościanie przez tydzień nie wypędzali bydła na wspólnotowe pastwisko. Zwierzęta wskutek tego ryczały z głodu, lud jednak i tak nie odstępował od wiary.

Jak zapisał ks. J. Pruszkowski, unicki duszpasterz powiedział z ambony: „Dajcie mi do nabożeństwa polską książkę, zapewne po raz ostatni w tej świątyni , niech ją na pożegnanie uścisnę moimi rękami i ucałuję. Powiem wam ostatnią naukę o różańcu świętym, który wam zabraniają dziś śpiewać w cerkwi, a wypędzają go stąd po tylu latach jego zbawiennego wpływu na podniesienie serca i miłości naszej ku Chrystusowi Panu i Jego Najświętszej Matce"...

I był to rzeczywiście ostatnie wystąpienie księdza unickiego w drelowskiej cerkwi Jana Welinowicza, gdyż natychmiast po Mszy Świętej wywieziono go do Chełmna i wtrącono do lochu, w którym zakończył wkrótce życie.

Do krwawej rozprawy carskich żołdaków z drelowskimi męczennikami unickimi doszło 17 stycznia 1874 roku. Gdy wojsko zażądało oddania kluczy do świątyni, w jej obronie zgromadził się wierny lud i orzekł był, iż nie pozwoli sprofanować swojej cerkwi. Zjawiliśmy się tutaj - oznajmili - żeby się modlić, a nie popełniać zbrodnię w świętym miejscu.

Bez strachu przyjęli pierwszy szturm żołnierzy. Stali twardo, nie odstępując ani na krok. Dowódca major Kotow posłał wtedy poprzez urząd gubernialny telegram do siedziby cara w Petersburgu. Oczekiwał odpowiedzi, jak ma postąpić w tej sytuacji? Nadeszła okrutna odpowiedź: „zabić wszystkich!".

Unici wybrali spośród siebie delegata do rozmów z dowódcą, którym był Symeon Pawluk, uznawany za zacnego i rozsądnego gospodarza. Pawluk miał powiedzieć dowódcy oddziału, którym był Bek: „Strzelaj naprawdę, jeśli masz władzę, jesteśmy gotowi zginąć wszyscy, bo słodko jest umierać za wiarę".

A kiedy Symeon Pawluk skinął ręką, lud ukląkł zgodnie na kolana i wzniósł śpiew do Boga. Zdenerwowało to mocno Beka, który nakazał niezwłocznie żołnierzom oddać strzały w stronę unitów.

Od kul padło pięciu unitów: Symeon Pawluk, Andrzej Charytoniuk, zwany „Siejką", Paweł Kozak, Jan Romaniuk i Teodor Ołtuszyk, zwany „Bocianem".

Radzyński dziekan sporządził po tym zajściu opis bardziej rozbudowany, który ks. F. Pruszkowski tak ujął": „Naczelnik ponowił rozkaz, aby lud odstąpił od cerkwi, bo inaczej zagroził, że wszystkich pobije lub żywych zakuje w kajdany i wyśle na Syberię. Lud jednak rozkazu nie usłuchał. Wśród zimna zdejmował swą odzież i okrywał nią rannych leżących na śniegu, darł swoje koszule, aby przewiązywać ich rany. Lecz ranni ani słyszeć nie chcieli o uldze w cierpieniu lub zatamowaniu swojej krwi i wołali do wojska: „Dajcie nam śmierć, niech skonamy za naszą wiarę, jak ci, którzy leżą przy nas zabici. Do domów naszych już nie pójdziemy. Tu nasz dom Boży, tu nasza święta ziemia, tu krew nasza, tu niech będzie jeden nasz grób".

Ludzie stali przy cerkwi przez całą noc. Naczelnik Kotow, prowadzący tę akcję, słysząc śpiew godzinek do NMP, nakazał wojsku wejść na przykościelny cmentarz i wypędzić stamtąd wiernych. Oficer rosyjski, który był obecny przy tym zajściu, miał opowiadać później, że „drżał z trwogi i przerażenia jak w febrze, że aż się odwrócił i zamknął oczy, aby nie patrzeć na tę scenę gorszą od wyobrażenia tysiąca piekieł, gdzie szatani znęcają się nad potępionymi. Był gotów cisnąć na ziemię swoją szablę i rzucić się na żołnierzy i starszyznę..."

Padł, mając ciało przeszyte kulą...

Zbrodnia była okrutna. Wskutek odniesionych ran postrzałowych zmarli: Jan Kościuczyk, Teodor Kościuczyk, Wincenty Bazyluk, Jan Kubik, Andrzej Kubik i Jan Łuciuk. Łącznie zginęło w Drelowie 13 unitów, liczba rannych sięgnęła 50, a około 60 osób trafiło do więzień. Na frontonie murowanej cerkwi, która została zamknięta, jeszcze długo widniały liczne ślady od kul.

Pamięć o męczeństwie drelowskich unitów wryła się głęboko i boleśnie w ludzką pamięć. Zeznania dotyczące tego wydarzenia jeszcze w 1928 roku spisał ks. Karol Wajszczuk, gromadząc świadectwa poświęcenia podlaskich unitów.

„Kiedy unicki ksiądz Welinowicz wyjechał do Chełma, a syn jego, także ksiądz, ale skłaniający się do prawosławia, zaczął głosić kazania w rosyjskim języku i kasować dodatkowe unickie nabożeństwa, czem oburzył na siebie miejscową ludność i wskutek tego musiał uciekać z wioski, a ludność miejscowa
zamknęła kościół i kluczami kościelnymi zaopiekowały się kobiety, to, zdaje mi się w wigilię Trzech Króli, przybył naczelnik straży ziemskiej, o ile się nie mylę nazwiskiem Andrejuk z kozakami do Drelowa - zeznawał wówczas już 80-letni Grzegorz Jakimiuk, mieszkaniec Drelowa.

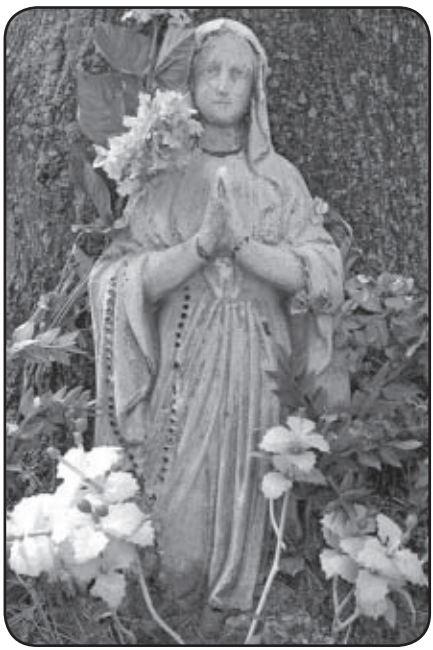

Nie do końca i nie u wszystkich mieszkańców wsi cmentarz unicki popadł w zapomnienie. Co i raz czyjeś życzliwe ręce ustawią tam figurkę Matki Bożej, symbol ukrzyżowanego Chrystusa, czy też sztuczne kwiaty, którym nie szkodzi nawet mróz.

Ludność zebrała się na cmentarzu kościelnym, otoczyła wszystkie wejścia i pomimo rozkazu naczelnika i kozackiego oficera oddania kluczy kościelnych i rozejścia się - unici pozostali na miejscu i namawiali się, broniąc swej wiary, z przedstawicielami władzy rosyjskiej, schizmatyckiej. Oficer wydał rozporządzenie wiązania upartych i rozpędzania obecnych i wtenczas zaczęto wiązać powrozami ludność.

Związano ich ze 30, a kiedy broniąc swoich mężów lub synów kobiety poczęły kamieniami i piaskiem rzucać na żołnierzy, kozacki oficer strzelił w tłum i przestrzelił Chwedora, Teodora przezywanego „Bocianem", Ołtuszyka, który zaniesiony do domu Daniluków, naprzeciw kościoła, gdzie na drugi dzień zmarł. Zmarły był to człowiek dobry i bogobojny.

Zamordowany w ten sposób Chwedor Ołtuszyk został pochowany na miejscowym cmentarzu. Przez dłuższy czas pamięć o umarłym i miejscu jego pochowania znaną była, dziś nie wiadomo jednak gdzie on leży.

Dodam jeszcze, że wówczas dużo było ludzi, których bito rózgami, jak na przykład Mikołaj Onufryjuk, mający wówczas około 60 lat, lub Gruszka, który był bity rózgami, siedzieli w więzieniu, ale pomarli w domu, powróciwszy z więzienia. Ja sam również byłem bity, dali mi pod kościołem około 70 rózeg". Inny naoczny świadek zajść w Drelowie, liczący przeszło 60 lat Grzegorz Juchimiuk, mieszkaniec tutejszej wsi, zeznawał:

„Rząd rosyjski usiłował skasować unię rzymsko-katolicką i przez przechylających się do prawosławia unickich księży, łącznie z rosyjskimi władzami, rozpoczął zaprowadzać prawosławie w parafiach unickich. Zapewne z namowy ks. Welinowicza przybyły do naszego Drelowa oddziały rosyjskiego wojska z oficerami i naczelnikiem straży ziemskiej, nie wiem czy nie przekręcam nazwiska, Jędrejowem, aby odebrać klucze cerkiewki naszej unickiej i oddać je skłaniającemu się do prawosławia Welinowiczowi. Myśmy klucze do naszego kościółka oddali kobietom, które wręczyły je kobietom z Kwasówki i tam kobiety przetrzymywały, byle nie wpuścić prawosławnych obrzędów i schizmatyckiej wiary do naszego unickiego kościoła.

Gdy wojska przyszły, ludność zgromadziła się przy kościele na cmentarzu. Naczelnik i oficer żądali oddania kluczy i rozejścia się. A gdy ludność przemawiając się w obronie wiary z naczelnikiem nie rozchodziła się - oficer wydał rozkaz strzelania, i widziałem jak widocznie mając kulą przeszytą głowę upadł przy dzwonnicy Jan Romaniuk z Przechodziska, zraszając obficie krwią ziemię cmentarną.

Również padł Teodor Ołtuszyk z Drelowa, mając przeszyte piersi kulą. Z rany obficie broczyła krew, którą pokropił on ziemię, niesiony do pobliskiego domu Czatyrków czy też Daniluków, gdzie

po 24 godzinach skończył życie.

/.../ „Tegoż dnia był zbity przekładniami karabinów z Preszczówki Szymon Olesiejuk, który w cztery dni potem umarł w szpitalu w Międzyrzecu /.../. Mnie również żołnierze bili przekładniami, ale jakoś Bóg dał, że przetrzymałem i żyję."

Jeszcze krótkie fragmenty dwóch zeznań uczestników pogromu unitów w Drelowie, pochodzące z tego samego źródła zapisu.

„W wigilię Trzech Króli 5 stycznia około godziny 9 rano przybyły do Drelowa z wojskiem władze rosyjskie. Ale tu około kościoła na cmentarzu od północy gromadziła się już ludność, i ja z teściem Janem Romaniukiem i innymi gospodarzami byliśmy już przy kościele - wspominał 80-letni Dawid Drupaluk, mający wtedy 46 lat. - Ludności zgromadziło się około tysiąca. Z wojskiem piechoty i sotnią kozaków, na czele których stali oficerowie, przybył z Radzynia, jak nam wówczas opowiadano, naczelnik powiatu Kotow i naczelnik straży Andrejew./.../

Wojsko zaczęło strzelać do stojących na cmentarzu, i pamiętam, jak stojący na prawo od wejścia na cmentarz mój teść Jan Romaniuk, rażony kulą w głowę, brocząc krwią - padł na cmentarzu. Również przeszyty kulą został Teodor Ołtuszyk, przezywany „Bocianem". Jana Romaniuka, który zaraz umarł, wprędce jego pasierb Melan Nakaziuk, nieżyjący od czterech lat, zawiózł do domu i na drugi dzień ciało jego zawieźliśmy na cmentarz i pochowaliśmy./.../ W tym dniu były też wypadki pobicia innych ludzi, jak na przykład obcięto palec Maciejowi Opałce, lecz on później przystał do prawosławia. Pobito rózgami Demiana Łuciuka z Zahajek, od czego on w trzy dni umarł..."

Sylwester Panasiuk, mający podczas zeznań 78 lat, mieszkający w Zahajkach, powiedział m.in.: „Żołnierze zaczęli wiązać tych, co koło drzwi bliżej stali i związali mojej żony ojca Stefana Marczuka, mającego około 50 lat, to ja pobiegłem i nożykiem, który miałem w kieszeni, rozciąłem sznurki i ojca uwolniłem. Inni młodzi mężczyźni i kobiety toż samo robili z innymi związanymi.

Wtenczas na cmentarz wpadli kozacy i nahajkami zaczęli bić ludzi, to ci porwali kołki stojące przy spichlerzu, lub też wyrwali ich z płota i rzucili się na kozaków z kołkami. Opowiadają, że było z 11 zabitych kozaków .Wówczas na cmentarzu znaleźli się starszyzna wojskowa i Andrejew, który wyciągnął szablę i bił nią ludzi, a Gabryel Mieleszko

z kózek złapał ręką za szablę i trzymając obydwoma rękami, uklękł na ziemi, żeby w ten sposób uniemożliwić naczelnikowi cięcie szablą, lecz naczelnik Andrejew przychylił się wyrywając szablę, a ktoś z ludzi stojących z tyłu Andrejewa grzmotnął go kołkiem po karku i Andrejew puściwszy szablę, skulony wyszedł z cmentarza do wojska, krótką chwilę się naradzali i słyszeliśmy rozkaz „atkryć agoń" - i zaczęto najprzód strzelać w powietrze, a potem ja patrzę jak zwalił się trafiony w czoło Jan Romaniuk z Przechodziska i broczy krwią już nieżywy /.../.

Nas na cmentarzu otoczyło wojsko, przez noc nas trzymali na cmentarzu, nie dając nikomu wyjść, a rano wypędzili nas za wieś i był sąd nad nami. Czternastu nas skazano do więzienia, czterech na rózgi, innym wyznaczono kontrybucję. Wiem, że rózgami pobity Damian Łuciuk z Zahajek zmarł. Nas osądzonych na więzienie wepchnięto na furmanki. Dziesięciu kozaków otoczyło furmanki i przewieziono nas do Międzyrzeca. Skąd na drugi dzień do Siedlec, gdzie cztery dni siedzieliśmy w ratuszu. Potem zaprowadzili nas do więzienia i tam siedzieliśmy do Wielkanocy.

W więzieniu przychodził do nas policmajster z popem, który namawiał do odbycia przed nim spowiedzi lub pocałowania krzyża. Myśmy jednak energicznie wypierali się tym żądaniom. Wytrwałość nasza zwyciężyła i puszczono nas do domu".

Poetyckie strofy

Współczesny rodak Drelowa, Franciszek Jerzy Stefaniuk, poseł i poeta, działacz ludowy, napisał - wychowany w ich tradycjach - „Unitów Drelowskich Drogę Krzyżową".

„Pochylony nad historią męczeńskich unitów drelowskich, rozważając heroizm wielkiego patrioty, ich przewodnika duchowego Szymona Pawluka, szukam odpowiedzi na pytanie, które powraca jak myśl natrętna. Kto ich tej Polski nauczył, że zapłacili za Nią cenę najwyższą? Oni przecież jej nie pamiętali. Czy taką moc miał pacierz polski, którego uczyła matka?"

Te słowa napisał Franciszek J. Stefaniuk w autorskiej inwokacji. Utwór poświęcił trzynastu drelowskim unitom, którzy życie oddali w

obronie wiary i swojej świątyni.

„Gdy staniesz przed murem owej świątyni
pokryjesz powieką zmęczone oczy
niech usta zamilkną a cisza uczyni
że myślą na chwilę się z nimi zjednoczysz" -
świeżo i klarownie brzmią słowa wiersza -
Od tamtej golgoty gdy wiek dawno minął
a życie się kręci swoistą osnową
ich postaw męczeńską rozważam przyczynę
jako narodu drogę krzyżową" - autor
przybiera oto i takie strofy:
„Przed bramą świątyni lud mężnie się stawił
na rozkaz Boga w swym wielkim dziele
nie będzie po rusku pop dla nas prawił
w unickim polskim najświętszym kościele.
Jak stos ofiarny przed drzwiami kościoła
krzyż polskiej niewoli na nasze ramiona
to Szymon Pawluk do chłopów woła
niech ciało zabiją duch polski nie skona".

A na koniec Franciszek Jerzy Stefaniuk napisał:

„Tak Drelów przykładem modlitwą i czynem
bronił najświętszych swych ojców wiary
siedem dni wcześniej przed Pratulinem
złożyli Bogu z życia ofiarę".

Rozdział III

Pogrom unitów w Pratulinie

Unici z parafii Pratulin, zasobnej, nadbużańskiej wsi leżącej w pobliżu Janowa, poddani zostali najgorszym doświadczeniom. Eskalacja działań przybrała tutaj charakter zemsty. Narastała stopniowo zanim osiągnęła krwawe apogeum. Obok kościółka katolickiego stała tutaj drewniana cerkiewka unicka, którą włościanie sami zamknęli, obawiając się zaprowadzenia w niej nabożeństwa prawosławnego.

„Na początku roku 1874 – napisano w książeczce „Prześladowanie unitów w Królestwie Polskim", w ramach cyklu „Z domu niewoli", która ukazała się w Paryżu w 1891 roku – gubernator siedlecki Gromeka polecił naczelnikowi powiatu konstantynowskiego Aleksandrowi Kutaninowi, iżby usunął z cerkiewki pratulińskiej przedmioty nieodpowiadające obrządkom religii prawosławnej. Wieść o zamierzonej operacji wywołała popłoch wśród mieszkańców Pratulina i sąsiednich Bohukał. Przybywszy 26 stycznia o godzinie pierwszej po południu w towarzystwie naczelnika straży ziemskiej Klimienki, komisarza do spraw włościańskich Bułhakowa, wójtów, żandarmów i strażników, zastał już Kutanin cerkiewkę okoloną przez tłum ludu i zatopionego w modlitwie, zawodzącego pieśni nabożne.

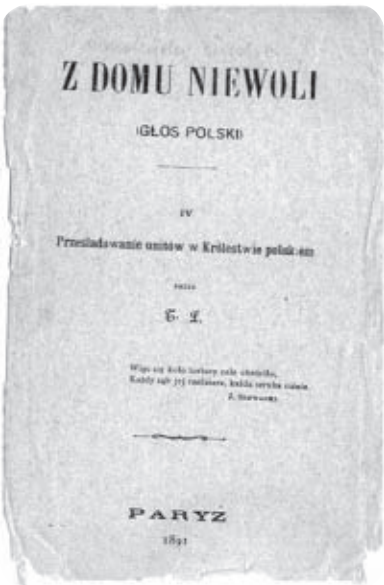
Z DOMU NIEWOLI

GŁOS POLSKI

IV

Prześladowanie unitów w Królestwie polskiem

PARYŻ

1891

Strona tytułowa wydanej w 1891 r. w Paryżu książki o prześladowaniach unitów w Królestwie Polskim.

Kluczy do drzwi cerkiewnych lud wydać nie chciał, twierdząc, że wrzucone zostały do Buga. Policję chcącą wtargnąć na cmentarz lud odparł. Kutanin musiał z towarzyszami usunąć się na wzgórze pobliskie, skąd wysłał do Terespola po wojsko. Włościanie wciąż się modlili,

zwartem kołem opasując cerkiewkę.

Skoro wojsko przybyło, zażądano od ludu ponownie wydania kluczy i ustąpienia z cmentarza. Otrzymawszy odpowiedź odmowną, kazano wojsku wtargnąć na cmentarz, drzwi cerkiewki wyłamać. Lud stawił opór, żołnierzy odpychał... Oficer kazał żołnierzom dać ognia.

Lud, rozjątrzony widokiem kilku poległych, rzucił się na wojsko z kijami i pięściami, rozpoczynając zaciętą walkę. Niebawem drugi oddział wojska, przybył z Brześcia Litewskiego, kulami i bagnetami pomnożył liczbę trupów do kilkudziesięciu..."

Unici z Pratulina już wcześniej przelali swoją krew w obronie wiary i kościoła. Zapowiedź likwidacji ich cerkwi, o czym wieści rozniosły się szybko, obruszyły i wzburzyły pratulińskich unitów, wzmagając w nich opór i wolę walki.

„Świadek walki, Kutanin, wezwał wreszcie lud - jak napisano w tej książeczce - do układów, zażądając wydelegowania dwunastu włościan najwybitniejszych. Lud z obawy podstępu wahał się i wyczekiwał. W końcu, skoro przecież zapewniono uroczyście delegowanym nietykalność, na propozycję przystał.

Gdy na zapytanie naczelnika: czego żądacie, delegowani odrzekli, jako nie chcą, iżby cerkiew unicka zamienioną była na prawosławną. Wbrew uroczystym zapewnieniom kazano ich związać i wrzucić do chlewików. Zakomenderowano do nowego ataku na lud, okalający wciąż cerkiewkę. Bezbronni włościanie w części pierzchnęli, w części - ujęci przez żołnierzy - powiązani, zapełnili stodoły, stajnie i chlewy. Kilkadziesiąt trupów i rannych było świadkiem wtargnięcia do cerkwi dla dokonania wielkiego dzieła - wyrzucenia z niej tego, co nie odpowiadało obrzędom prawosławia".

Dramat rozegrał się - gdy żołnierze stojąc półkolem za cmentarnym parkanem strzelali bez przerwy, a od wystrzałów aż huczało, zaś kule jak grad spadały na wiernych - 24 stycznia 1874 roku. Od kul zginęło na miejscu 13 unitów. Rannych naliczono aż około 180, a potem jeszcze prawie 80 osadzono w więzieniu. Była to w istocie haniebna egzekucja bezbronnych unitów. Drewniana cerkiewka postrzelana została kulami, dach był dziurawy jak sito. Prawosławie przejęło więc unicką cerkiew obficie zbrukaną krwią. Lecz i potem unici nie zaznali spokoju.

„Z uwięzionych – czytamy dalej – jednych dotknięto grzywnami, innych więzieniem, część wywieziono do Rosji. Pogrzeb ofiar odbył się śród łkań tłumu, zagłuszonych okrzykami żołdactwa".

Po sponiewieraniu i batożeniu wielu pratulińskich unitów osadzono w bialskim więzieniu. W roku 1880, gdy pomimo olbrzymich ofiar duch wiary wśród unitów nie zgasł, siedem osób skazano na wygnanie w głąb Rosji. Był wśród nich Emilian Semeńczuk i Józef Zaczopek.

W rok potem areszt spotkał Konrada Greczuka z unickiej parafii w Janowie, który wędrując z kosturem po Podlasiu zbierał informacje o męczeństwie swoich współbraci, aby następnie dostarczać je ks. J. Pruszkowskiemu. Na ich podstawie, jak też własnych obserwacji i rozmów, sporządził on udokumentowane i rzetelne notatki dotyczące zmagań unitów z zaborcą.

Greczuka popędzono piechotą do więzienia we Włodawie. Ponieważ swoje zapiski ukrywał w czasie wędrówek po wsiach w drewnianym kosturze, tym razem kostur gdzieś się zapodział, wskutek czego szczęśliwie zabrakło obciążających go dowodów. Został więc Greczuk wypuszczony do domu. Jednakże niedługo potem był ponownie aresztowany, tym razem za sprawą miejscowej policji. Wszystkiemu zaprzeczył, nikogo nie wydał, ani wtedy, ani później, wolał zginąć aniżeli obciążać kogokolwiek.

Konrad Greczuk dostarczał również wiadomości pochodzące z parafii w Pratulinie. Stąd właśnie po siedmioletnim pobycie w bialskim więzieniu wywiezionych zostało jeszcze czterech unitów na zsyłkę w głąb Rosji. Byli to: Jewdokin Maciuk i Jerzy Makaruk ze wsi Derło, Stefan Matwiejuk i Andrzej Tomaszuk ze wsi Łęgi. Tornaszuk przesiedział wcześniej z żoną w więzieniu aż siedem lat. Pozostawili w domu dzieci, obciążając dziadków ich utrzymaniem i wychowaniem. Jerzy Makaruk rozstał się z trojgiem dzieci, których matka wtedy już nie żyła.

Krwawa rozprawa z pratulińskimi unitarni wywołała powszechne oburzenie. Nie tylko na ziemiach polskich, ale także za granicą. Trafiła na łamy gazet i do książek, do modlitw i na ambony. Zainspirowała poetów, rysowników i malarzy, publicystów. Eliasz Radzikowski namalował ekspresyjny obraz przedstawiający krwawą rozprawę pod pratulińską cerkiewką.

Pogrom unitów w Pratulinie wszedł na karty historii i do świadomości narodowej Polaków, pozostając w nich na bardzo długie lata. Jednocześnie usztywnił i zaostrzył postawę carskiej administracji i prawosławia wobec nieugiętych unitów.

„Za sprawą pratulińską – napisał autor cytowanej paryskiej broszury, utajniony pod literkami B. L. – we wszystkich niemal wioskach powiatu konstantynowskiego, zamieszkałych przez unitów, popi z czynownikami najstromotniejszymi dopuszczali się znęceń. Spędzali chłopów do cerkwi i kazali im podpisywać deklaracje, jako że przechodzą na prawosławie. Opornych bili, kazali kozakom rżnąc ich bydło, pustoszyć gospodarkę. Wielu uległo, niektórzy opierali się mężnie. Dzielnym oporem odznaczyli się mieszkańcy wsi Szpaki. Najsroższych też doświadczyli oni katuszy.

Stary krzyż kowalskiej roboty. Wcześniej stał zapewne na jakimś nagrobnym postumencie, teraz tkwi wbity w grunt.

Ciało ich od ciosów nahajek kozackich odpadało od kości. Wśród najtęższego mrozu kobiety, nagie prawie, wypędzane były w pole. Niektórzy z tych biedaków zdobywali się na prawdziwy heroizm. Gospodarz Kuncewicz, wyspowiadawszy się w kościele katolickim, zgromadził rodzinę swoją w stodole, podpalił ją i spłonął. Wielu nieugiętych wywiezionych zostało w głąb Rosji.

Jana Pilipiaka ze wsi Ogrodniki, wprost z cerkwi, w której odmówił podpisania deklaracji, wraz z Piotrem Kalińskim z Ostromęczyna, zaprowadzono do więzienia siedleckiego, stamtąd na Białą i Brześć Litewski zesłano do guberni Ufimskiej."

Znamy nazwiska i imiona oraz biografie unickich męczenników. Figurują one na tablicach pamiątkowych i pomnikach. Bo też podlascy unici wykazali się – nie tylko w Pratulinie – niezwykłą odwagą i wytrwałością oraz heroizmem w obronie swojej wiary. Ta ich postawa

wzbudzała i wciąż wzbudza szacunek i uznanie.

Nawracanie pałką i knutem

Pratulin i Drelów utrwaliły się najbardziej w pamięci. Przykładów poświęcenia w obronie wiary i świątyń było jednakże dużo więcej. Nie tylko tam zamknięto przecież unickie świątynie. Stała się ta praktyka powszechna za sprawą cara Aleksandra II, okrutnego prześladowcy unitów, który w maju 1875 roku wydał ukaz, to jest dekret, o kasacie czyli likwidacji postanowień Unii Brzeskiej. Formalnie, dla mydlenia oczu, określono to jako pojednanie Unii z Prawosławiem. W rzeczywistości stało się argumentem i narzędziem potęgującym rusyfikację i wynaradawianie ludu polskiego.

Sięgnijmy ponownie po paryską książeczkę: „W roku 1888 – czytamy – cała rodzina Jana Pilipiaka z Ogrodnik padła ofiarą. Pomna napomnień i przykładu ojca, któremu udało się parę razy potajemnie odwiedzić Ogrodniki, rodzina Pilipiaka nie ulękła się prześladowań i namowom.

W lipcu 1888 roku naczelnik powiatu Kiedrow z naczelnikiem straży ziemskiej Teissewem, z kilku wójtami i strażnikami wpadł o świcie do wsi we 25 furmanek. Przerażony lud nie umiał sobie wytłumaczyć tak potężnego najazdu na ich małą, zaledwie kilkanaście chat liczącą wioskę. Mężczyźni zaczęli się skupiać i radzić, kobiety uderzyły w płacz, przeświadczone, że wywiezione zostaną do Rosji.

Kiedrow oświadczył Filipiakom, jako ostatni raz wzywa ich do przejścia na prawosławie; że jeżeli deklaracji nie podpiszą, natychmiast zostaną deportowani. Odpowiedzieli mu na to: „Pan Bóg jeden wszędzie, czy tu, czy dalej nas nie opuści. Ojciec nasz tam żyje i my żyć będziemy, a od swojej wiary nie odstąpimy".

Po takiej odpowiedzi naczelnik kazał natychmiast wsadzać na wozy: Piotra, Andrzeja, Stefana, Aleksandra, Antoninę i Paulinę Filipiaków. Żegnali łzami i wyrzekaniami sąsiadów, wśród naigrawań Kiedrowa, powiezieni zostali Filipiakowie do Białej, stamtąd zaś wysłani do guberni orenburskiej.

Gospodarkę wygnańców objął strażnik ziemski, gorliwy misjo-

narz prawosławia, Repka. Jednocześnie wywieziono ze Szpaków rodziny: Tymieckich, Piotrowskich, Wierzbickich i Werepszczaków - ogółem osób trzydzieści kilka".

I jeszcze dwa inne przykłady, zaczerpnięte z tego samego źródła. Pierwszy dotyczy wsi Gęsi: „Feliks Szulgin, naczelnik powiatu radzyńskiego, wraz z naczelnikiem straży ziemskiej Aleksandrowiczem i wójtem Muchą, pisarzem gminy Styczakowskim, popem Karpikiem, policją i żandarmami przybyli o północy 9 czerwca 1888 roku do wsi Gęsi dla nawrócenia żony Nieściora Iewczuka, dwóch córek i chłopca.

Skoro namowy pozostały bez skutku, kazał Szulkin kobiety i wyrostka zawieźć do Białej, skąd po parotygodniowym więzieniu wywiezieni zostali do guberni orenburskiej. Z tejże wsi wywieziono też Miskrę, którego ojciec od 1875 roku znajduje się w guberni chersońskiej. Chłopiec, chcąc się ratować, prosił o czas do namysłu. Pozwolono mu wrócić do Gęsi. A że nie zdecydował się przyjąć prawosławia, powtórnie zagrożono mu wywiezieniem na zsyłkę."

Przykład drugi wsi Zminne, też w powiecie radzyńskim: „Zesłany przed czterema laty Jan Telechoń zdołał uciec i wrócić do rodzinnej wsi. Policja potrafiła zbiega wytropić, schwytała go w nocy i sprowadziła do chaty. Na wieść o tem zebrał się tłum. Ktoś z rezolutniejszych zgasił świeco, z czego korzystając Telechoń wyskoczył oknem i zaczął uciekać. Strażnicy poczęli strzelać. Jeden trafił uciekającego kulą w krzyż, inni powalonego rąbali szablami po głowie. Chłopi rozpędzili strażników. Telechoniowi dla zatamowania upływu krwi zasypali rany piaskiem, włożyli go na wóz i wieźli mil kilka do doktora zamieszkałego w Parczewie.

Skoro lekarz operacji wyjęcia kuli na poczekaniu dokonać nie mógł i radził zawieźć rannego do szpitala w Radzyniu, włożyli znowu Telechonia na wóz i uciekli z nim w lasy. Obława policji ujęła następnego dnia wszystkich i sprowadziła do Radzynia. Zjechał wkrótce do Zminnego naczelnik powiatu i całą rodzinę Telechonia wywiózł".

Biała, podobnie jak Siedlce i Łuków, stanowiła miejsce zbiorcze dla skazanych na wywózkę. Zdarzało się, że jednego dnia zjeżdżało nie spodziewanie po kilkadziesiąt furmanek.

„Ponownie namawiają uwięzionych - czytamy dalej - do prawosławia, nieugiętych prowadzą na stację kolei z muzyką dla zagłusze-

nia złorzeczeń i jęków. Odłączają częstokroć żon od mężów, dzieci od rodziców. W roku 1889 na dworcu kolejowym w Białej rozegrała się straszliwa scena rozpaczy w rodzinie unickiej, z której nie tylko męża i żonę wywożono w różne miejsca do Rosji, ale nawet oderwano od nich trzyletnie dziecko".

Potem przychodziły na Podlasie listy z głębi Rosji. Jeden z takich wygnańców pisał do rodziny: „Trzymali nas w zamku do niedzieli od wtorku i w niedzielę nad wieczorem wyprowadzili nas z zamku, do koła nas ostremi szablami i sztykami ostawili do kolei potaszczyli. Jak nas do kolei taszczyli, ostatni raz swych braci i siostry pożegnaliśmy, na wagony nas wpędzili, drzwi za nami pozapierali, my się ostatni raz z Polszczą ukochaną pożegnali".

A inny wygnaniec tak pisał: „Prosim was, nasi kochani, donieście nam o wszystkijem, kto tam chodził do Częstochowy i do Prostyni, bo jak byłem w tamtym roku w Prostyni, to słyszałem, co obrócą nam cerkiew..."

Mniej znane są wydarzenia, jakie zaszły w innych miejscowościach na Podlasiu. W tym również w wioskach leżących w pobliżu Terebeli.

Unici z Łomaz, jak wynika z zapisu ks. F. Pruszkowskiego, w roku 1867 poddani zostali ostremu batożeniu. Najbardziej twardzi i oporni odebrali po 300 i 400 nahajek. Pytani po biciu, czy przyjmują cerkiewne zmiany i czy będą chodzić do księży prawosławnych, odpowiadali, że nie pójdą do sprofanowanej cerkwi, chociażby mieli wpierw stanąć przed Sądem Bożym.

Piękna, majolikowa figurka Matki Boskiej Fatimskiej z cmentarnej groty.

W nadbużańskim Kodniu tego samego roku stanęło w obronie świątyni - gromadząc się na cmentarzu - bez mała 3000 wiernych. Otoczyło ich wojsko, nie wypuszczając na zewnątrz nikogo i nikogo nie

dopuszczając z zewnątrz. Byli wśród nich starcy i matki z dziećmi. Paliło słońce, dręczyło pragnienie, doskwierał głód. Unici poddani zostali lżeniu i znieważaniu, biciu i poszturchiwaniu. A pomimo to śpiewali, gdy zaś było bardzo źle - łkali i płakali.

Chcąc przedostać się przez ów kordon do żony z dzieckiem, przebywających tam wraz z innymi, jeden z mieszkańców Kodnia pchnięty został piką przez kozaka i padł na ziemię. Prosił, by przybył do niego unicki kapłan z sąsiedniej parafii w Kostomłotach, gdyż swój był już aresztowany. Kiedy stanął przed nim ksiądz prawosławny, odtrącił go i czekał cierpliwie aż przybędzie ksiądz unicki. Gdy się zjawił. przyjął od niego sakramenty i wtedy zmarł.

W pamięci unickich parafian z Komicy zapisał się fatalnie sztabskapitan Klimenko, który podczas świąt Bożego Narodzenia wymierzał wiernym unitom karę bicia nahajką. Kobiety i dzieci brały po 50 nahajek, a mężczyźni dwakroć więcej. A gdy gospodarz nie godził się zabijać krowę czy jałówkę dla potrzeb rosyjskich żołnierzy, dostawał dodatkowo 100 uderzeń.

Stosowanie katowania odnowili Rosjanie w styczniu 1875 roku - i trwało ono aż 10 tygodni. Nowy dowódca, sztabskapitan Gołowiński, wyręczał osobiście żołnierzy w biciu, uzyskując z tego wyraźną satysfakcję. Bitego pytano każdorazowo, czy przyjmie prawosławie, a gdy odmawiał dostawał ponownie uderzenia nahajką.

Głowiński odwiedzał jeszcze skatowanych w domu, aby znowu pytać ich o zgodę na odstąpienie od dotychczas wyznawanej wiary. I tutaj były także bolesne razy, kiedy Gołowiński wysłuchiwał odmowną odpowiedź. Nierzadko prowadziło to do śmierci.

Przed drewnianym kościółkiem w Witulinie, dawną cerkwią unicką, na ofiarnym obelisku widnieją nazwiska sześciu bohaterskich unitów, zamordowanych w roku 1875 za wiarę. Byli to: Aleksander Lewczuk, Dymitr Krzysztofiuk, Ignacy Filipiuk, Jan Maciejuk, Joanna Maciejuk /rodzeństwo czy może małżeństwo?/ i Paweł Denisiuk.

Postument ów ufundowali parafianie w 1997 roku z okazji odbywającej się w Witulinie Misji Świętej poświęconej pamięci Męczenników Podlaskich, kiedy proboszczem był ks. Marek Żak. Wtedy postawiono - na pamiątkę nawiedzenia Relikwii Męczenników Podlasia - także Krzyż Pratuliński. Nauczanie prowadził ks. Jan Pilipiuk, ka-

pelan Szpitala Powiatowego w Białej Podlaskiej. Pochodzi on rodziny byłych unitów we wsi Koszoły.

Współcześni witulińscy parafianie niczego jednakże nie wiedzą o zajściu, jakie doprowadziło do śmierci bohaterskich unitów, którzy byli dalekimi ich przodkami, ani też o miejscu, gdzie zostali pogrzeba-

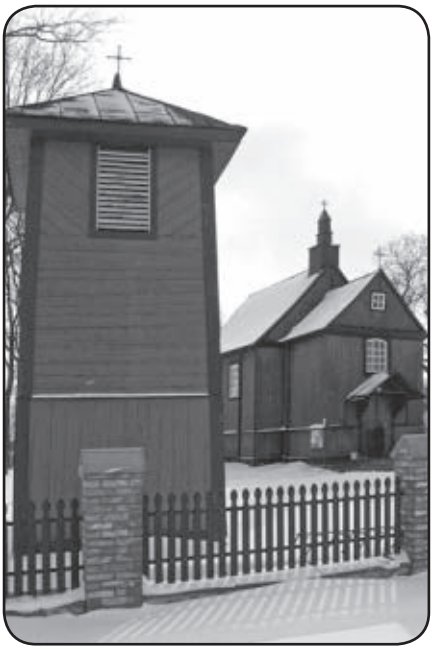

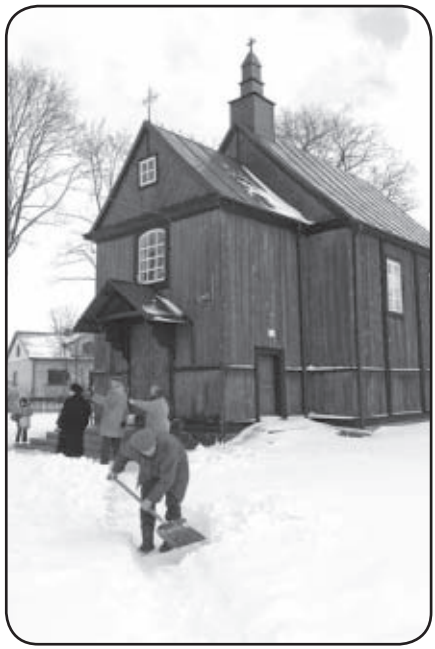

Witulański kościół został zbudowany w latach 1572-73 jako cerkiew prawosławna, stała się potem grecko - katolicką. Dziś służy wiernym katolikom.

ni. To prawdopodobnie był dawny cmentarz unicki, będący starą częścią obecnego cmentarza.

Szczegółowe informacje na ten temat znajdowały się zapewne w kronice parafialnej, o której na pewno wiadomo, iż była bardzo stara i prowadzona starannie, zawierając dobrze udokumentowane wydarzenia z ponad 400-letniej historii parafii.

Jednakże bardzo dziwnym trafem kronika ta, podobnie jak sprzęty liturgiczne i bardzo stare ikony, tworzące ikonostas i wyposażenie obrosłej tradycją świątyni, przechowywane na jej strychu odkąd stała się ona kościołem katolickim, zaginęła. Zaginęła bez śladu. Wielka to strata dla sędziwego Witulina, jak również dla hi-

storii tej wsi i całej okolicy.

Co zdarzyło się w Witulinie?

Część prawdy o witulińskich unitach utrwalił na szczęście wielokrotnie przywoływany tutaj ks. Józef Pruszkowski, dziekan Janowski. W swojej książce „Martyrologium czyli męczeństwo Unii Świętej na Podlasiu", zaznaczając, iż Witulin liczył wówczas 1500 dusz, należał do powiatu i dekanatu konstantynowskiego, pisał on m.in. tak:

„W 1874 roku przyszli parafianie na probostwo z żądaniem, aby pop oddał im klucze cerkiewne. Lecz gdy pop sekretnie oddał klucze świątyni schizmatyckiemu nauczycielowi i obawiając się smutnych następstw w parafii, wyjechał z probostwa, parafianie z żądaniem swoim zwrócili się do nauczyciela. Nauczyciel zląkł się parafian i tylnymi drzwiami wymknąwszy się z mieszkania, począł uciekać ku karczmie, spodziewając się tam znaleźć obronę w strażniku lub żandarmie, gościących zwykle w szynku.

Kobiety puściły się za nim w pogoń i ten widząc, że nie ujdzie mściwości ich rąk, strwożony przypadł do krzyża stojącego na drodze i objąwszy go począł krzyczeć o pomoc. Kobiety obstąpiły nauczyciela dokoła, serdecznie ucieszone widokiem, że schizmatyk trzyma się oburącz katolickiego krzyża i wzywa jego pomocy. „Ha!, sobaczy synu, wołały, twój rząd zabija ludzi, od wiary i prawego krzyża nas odciąga, a ty szpiegu donosisz mu, że my buntowniki i szczujesz na nas, a teraz, kiedy przyszła trwogą na ciebie, to przy naszym świętym krzyżu wrzeszczysz i pomocy jego wołasz, trzymaj że się teraz dobrze na naszego krzyża, a my tobie damy na pamiątkę biczowanie!.."

To mówiąc poczęły kobiety żartem odwiązywać swoje fartuchy i składać je jak do bicia, gdy w tej chwili zdarzyło się, że tędy przejeżdżał pop w Łukowców. Widząc zrozpaczonego nauczyciela, otaczanego przez unickie kobiety, przystanął, aby razem z furmanem swoim nieść pomoc nauczycielowi.

Kiedy kobiety witulińskie opuszczają w tej chwili nauczyciela, którego i tak nie tknęłyby pod krzyżem, a przybiegłszy do popa, jedne poczynają go bić przepaskami swojemi po plecach, po głowie, gdzie

która tylko uderzyć go może, drugie sypać mu piasek w oczy. Pop z trudnością dopadłszy bryczki uciekł wprawdzie przed kobiecą zemstą unitek, lecz nie uciekł przed wstydem i hańbą własnego sumienia, które doń wówczas silnie przemówiło, że jest odszczepieńcem, zdrajcą Chrystusa i że sprawiedliwie zasłużył, aby go przy tym świętym krzyżu zbawiciela, od którego zbiegł, dzielne kobiety unickie za karę wychłostały publicznie.

Pop wypadek ten tak wziął do serca, że wyrzekł się prawosławia, rzucił probostwo i mieszkając zaś jakiś czas w guberni siedleckiej, odzywał się często, że jest szczęśliwym i że za kobiety witulińskie codziennie, wstając i kładąc się, modli się w pacierzu i dziękuje Bogu, że go ukaraniem swojem i upokorzeniem, na co zasłużył, wybawiły go od schizmy.

Klucze cerkiewne dostały się do rąk unitów, lecz naczelnik Klimenko z Janowa nadciągnął z kozakami, rozpędził włościan od cerkwi, nałożył kontrybucję na całą parafię i na jej koszt na dwa tygodnie pozostawił kozaków.

Dnia 20 stycznia 1875 roku przybył do Witulina tenże naczelnik Klimenko z 300 kozakami. Zwołał unitów i zapytał ich, czy będą do cerkwi chodzili i czy przeproszą wyrzuconego z plebani popa. Po odmownej odpowiedzi, naczelnik kazał chłostać unitów. Kozacy siadali na głowy i nogi rozciągnionych na ziemi unitów, mężczyzn i kobiet, a drudzy bili ich nahajkami. Po powtórnem zapytaniu katowanego, czy przyjmie prawosławie i przeczącej jego odpowiedzi, naczelnik kazał kozakom trzymać go na mrozie, rozebranego do pasa, a innym, zanim przyjdzie kolej barbarzyńskiego pastwienia się nad nimi, stać na mrozie z odkrytą głową. Sam zaś wyznawszy tę pokutę i dawszy unitom czas do namysłu, szedł do karczmy grzać się, bo mu i w futrze zimno było na mrozie.

Po godzinie wychodził znowu do swoich ofiar ze zwykłym zapytaniem, czy przyjmuje prawosławie? – i po otrzymaniu przeczącej odpowiedzi, kłaść się i bić kazał następnych. I znowu takaż szatańska godzina przerwy następowała. Naczelnik w karczmie, paląc papierosa, spoglądał przez okno na lud umęczony, w jego sercu gorzało piekło złości, a po głowie kusiciela chytrość przebiegała, jakimby sposobem zakończyć z unitami!

I znowu wychodził do ludu ze zwykłym hasłem. „Porot!”. Bito więc po kilka razy każdego, a gdy unita ochrypły i drżąc od zimna krzyczeć już nie mógł i mało co miał życia, kazał go kozakom odrzucić w śnieg na stronę, a brać się do innych.

Pięciu wyznawców utraciło zupełnie zdrowie, a niektórzy z nich wkrótce pomarli. Najbardziej katowani byli za swoją śmiałość w odpowiedziach.

Zmarli: Jan Maciejuk, Aleksander Lewczuk, Dymitr Krzysztofiuk, Paweł Denisiuk i Ignacy Filipiuk. Natomiast Justyn Dawidziuk po skatowaniu przewieziony został do więzienia siedleckiego, a stąd wywieziony do Rosji na wygnanie i w drodze zakończył męczeńskie życie, zostawiając po sobie żonę i 5-ro sierot w domu”.

Ukryty wśród drzew stoi jeden z ostatnich dębowych krzyży cmentarnych, wykonany prawdopodobnie przez wioskowego cieślę. Upływ czasu mocno go sfatygował.

Z uwagi na tę charakterystyczną i wymowną publikację, przytaczamy dłuższy jej fragment. Zaistniała, jak łatwo zauważyć, pewna rozbieżność między nazwiskami witulińskich męczenników spośród tamtejszych unitów, których nazwiska zostały wyryte na przykościelnym postumencie, to jest dawną cerkwią, a tymi, które znalazły się w przedrukowanym urywku książki ks. Józefa Pruszkowskiego. Jednakże nazwiska pomordowanych unitów pomieszczone w spisie męczenników i męczennic podlaskich unitów, obejmującym w sumie 108 nazwisk, odpowiadają w pełni tym, które zostały upamiętnione. Brakuje tam tylko nazwiska Justyna Dawidziuka, który zmarł podczas wywózki na Sybir.

Kończąc opowieść o zajściu w Witulnie, ks. Józef Pruszkowaki odniósł się również do tego, co miało miejsce w Ossówce. Pisze tak:

„Naczelnik męczył przez tydzień wsi witulińskiej unitów i dla przerwania jednych i tych samych jęków, rzucił Witulin i z częścią kozaków przeszedł do Ossówki. Tu na wstępie oświadczył zebranym, że Witulin już przyjął prawosławie i aby bezczelne to kłamstwo nie wykryło się natychmiast, najściślejszy wydał rozkaz kozakom i strażnikom strzec wioski i nie pozwalać nikomu zajrzeć do Witulina, ani z Witulina przepuścić.

W Ossówce, po odmownej odpowiedzi wyznawców, te same co i w Witulinie nastąpiły dręczenia unitów, to samo niszczenie przez wojsko ich pracy i zasobów. Wreszcie, jakby na szczęście unitów, naczelnik zachorował, lecz wyjeżdżając z Ossówki wybrał tu czterech wpływowych gospodarzy: Gabriela Szuckiego, Justyna Dawidziuka, Joachima Chwesiuka i Antoniego Michaluka - i dawszy im krwawą prawosławną pamiątkę, odesłał do Siedlec, skąd wysłano ich do Rosji".

Terebela ma też utrwalony epizod, świadczący o postawie unitów. Wiąże się to z wizytą misjonarza ks. Jana Urbana, także autora książek o prześladowaniach wyznawców tej wiary, który przybył na Podlasie z dalekiej Galicji. Przybył on tutaj nielegalnie, aby posługą swoją wspierać wiernych. Wioski, które odwiedzał, w tym Terebelę, od przeszło 20 lat nie widziały misjonarza. Odwiedził on wówczas, a był już rok 1903, młodą dziewczynę obłożnie chorą, aby ją wyspowiadać. Dziewczyna leżała w łóżku wyłącznie na jednym boku, gdyż na jej nodze potworzyły się ropne rany. Z zeznań rodziców, o jakich wspomina ów ksiądz, wynika, że nie słyszeli z ust córki jakichkolwiek skarg czy utyskiwań. Bogu dziękowała za umartwione życie.

Do spowiedzi przystąpiła ze szczerą radością, aż trudną do wyobrażania, jak zapisał ksiądz. Zaskoczona faktem, iż nie może przyjąć komunii świętej, ponieważ zabrakło komunikantów, bo w trakcie odwiedzin misjonarza bardzo dużo unitów skorzystało z jego posługi. Chora dziewczyna pogodziła się z tym faktem, zaznaczając, że przykrość tę ofiaruje Panu Jezusowi. Misjonarz, ujęty taką postawą, miał stwierdzić, iż „tak świętą duszę trudno spotkać między ludźmi".

Unici imponowali swą postawą. Znamy też inny przykład z Terebeli o tym zaświadczający. Zaczerpnięty został z opracowania pod tytułem „Tradycje unickie w Ciciborze", której autorką jest Paulina Matoszuk, katechetka pracująca w szkole w Ciciborze Dużym. Praca

ta powstała w 1997 roku przede wszystkim w oparciu o wspomnienia żyjących jeszcze wówczas – leciwych już mieszkańców tej wsi, m. in. Bolesława Korniluka, Franciszka Litwiniuka i Antoniego Kondraciuka. Obok innych zatargów mieszkańców wsi z kozakami przysłanymi do gnębienia unitów, wspominane jest – zasłyszane z opowieści – zajście dotyczące pobicia Derkacza z Terebeli, należącej wtedy do parafii Cicibór. Między nim a żołnierzem doszło do sprzeczki, wskutek której Derkacz uderzył go w twarz.

Derkacz zaprowadzony został do komendanta kozackiej roty, który nakazał „uczepić go między dwa konie i ciągnąć po ziemi". Była to okrutna kara za jego czyn.

Potajemne śluby i chrzty

Carskie władze, zarówno cywilne, jak i wojskowe, nie przebierały w środkach i metodach zwalczania krnąbrnych Polaków. Okrutne i przemyślne działania pospołu administracji, wojska i służb prawosławia doprowadziły do likwidacji unickich świątyń. Jednakże pod wzmożonym naciskiem ugięła się jedynie część wiosek, przechodząc na prawosławie. Z reguły bowiem unici nie dali się załamać i zwieść zapewnieniom, broniąc zdecydowanie wiary i swoich świątyń, chociaż i tak w końcu bez mała wszystkie unickie cerkwie zostały zamknięte.

Zamknięto na Podlasiu aż 270 cerkwi unickich, które – wcześniej lub później – zamienione zostały na prawosławne. Los ten spotkał także 75 cerkwi filialnych i 51 kaplic. Jako szczególnie opornych, usunięto 140 unickich kapłanów, spośród duchowieństwa liczącego wtedy 209 osób. Na tym tle nierzadko dochodziło do wystąpień i buntów mieszkańców wsi i miasteczek.

W siedmiu parafiach dekanatu bialskiego, pięciu konstantynowskiego i czterech włodawskiego doszło do starć unitów z kozakami. Często, jak w powyższych przypadkach, obrona wiary i świątyń okupiona została krwią.

Moskale rozprawili się surowo również z klasztorami i sanktuariami, upatrując w nich duże zagrożenie dla powodzenia w realizacji planów rusyfikacyjnych. W roku 1864 zlikwidowali wszystkie zakony

katolickie na terenie Królestwa Polskiego, m. in. klasztor bazylianów w Białej. Zamknęli też świątynię katolicką w Kodniu, usuwając stamtąd cudowny obraz Matki Boskiej Kodeńskiej, który trafił na Jasną Górę w Częstochowie.

Rozprawili się ostatecznie z twierdzą katolicyzmu w Leśnej, wywożąc wcześniej na Sybir ojców paulinów. Cudowny obraz Matki Boskiej Leśniańskiej został w pełnej tajemnicy ukryty u sióstr Benedyktynek w Łomży, zaś dobrze podrobioną kopię kamiennej płaskorzeźby uznali Rosjanie „za zdobyczną", czyniąc z niej prawosławną ikonę.

W tym samym czasie, warto to podkreślić, w zamierzeniach Rosji Leśna miała odegrać kluczową rolę w tej części Podlasia w zakresie intensywnej rusyfikacji i umacniania prawosławia. I takim ośrodkiem przez jakiś czas rzeczywiście była. W klasztorze, który został zdecydowanie rozbudowany, jak zresztą cała osada, ulokowano przemyślnie zorganizowany żeński prawosławny zakon. Prawosławne mniszki, korzystając ze wsparcia carskiego dworu, bowiem przeorysza była bliską krewną imperatora, uzyskały doskonałe warunki rozwoju i szkolenia oraz nauczania.

Tutaj wykształcone i przeszkolone odpowiednio mniszki opuszczały ten ośrodek, aby następnie gdzie indziej zajmować się szerzeniem prawosławia. O randze i znaczeniu tego ośrodka świadczy fakt, że kilkakrotnie odwiedził go osobiście car Rosji Mikołaj II. Bo też w szczytowym okresie przebywało w Leśnej aż kilkaset mniszek.

Pomimo wszystko potężnej Rosji nie udało się chociażby w części spełnić ambitne zamierzenia. Nie powiodła się zwłaszcza rusyfikacja, ani też akcja ponownego zakorzeniania prawosławia, a to za sprawą głównie unitów, którzy wykazali się wielkim hartem ducha i silną wolą, aby nie dać oderwać się od wiary ojców i polskości. Było tak nawet wtedy, kiedy pozory wskazywały na uległość i poddaństwo.

Kiedy świątynie unickie były przejęte i podporządkowane prawosławiu, unici potajemnie, w dobrze strzeżonych chałupach czy też stodołach, a nierzadko w lasach, brali śluby w obrządku łacińskim, chrzcili dzieci, przystępowali do spowiedzi i Komunii świętej, grzebali nocą zmarłych. Posług duszpasterskich dokonywali – najczęściej w chłopskim przebraniu czy jako wędrowni handlarze – księża emisariusze z zakonu Jezuitów, którzy przyjeżdżali pokryjomu na umówioną

wcześniej misję do poszczególnych wiosek.

Pragnąć wziąć ślub po katolicku, młodzi przedzierali się nierzadko przez granice, wyznaczone w interesie zaborców, do Galicji i na Prusy, najczęściej zaś do Krakowa. Wracali stamtąd szczęśliwi, złączeni przez Boga sakramentem małżeństwa. Zdarzało się jednak, i to wcale nierzadko, że takie wyprawy kończyły się aresztami i ławą sądową, karami cielesnymi, zaborem mienia czy wywózką na Sybir. Wymagały więc dużej odwagi i poświęcenia. Górę, pomimo trudów i niebezpieczeństwa, brały jednak uczucia religijne i patriotyczne. Przywiązanie do wiary było przecież ogromne.

Czasem przybierało nieoczekiwane formy. Jak w przypadku wykradania z ochronek unickich sierot, aby nie dopuścić do ich zruszczenia i zapewnić im katolickie wychowanie. Praktykę tę stosowano także w przypadku Leśnej, w której mniszki prowadziły ochronkę. Wykradane dzieci były umieszczane w katolickich rodzinach, nierzadko adaptowane. Nielegalne były również msze i różańce, odprawiane pomimo zakazów, tak samo jak rozprowadzanie katolickich modlitewników, obrazków religijnych, opłatków bożonarodzeniowych czy też święconych gromnic, bądź poświęcania pokarmów wielkanocnych. Wiara krzepła nawet w podziemiu.

Tym większa była wściekłość carskich administratorów, niektórych księży prawosławnych, policji i żandarmów, których siła i skuteczność oddziaływania okazywały się dużo mniejsze w stosunku do tego, czym imponowali unici.

Byli też tacy prawosławni księża, którzy dyskretnie dystansowali się od stosowanych metod wykorzeniania katolickiej wiary unitów, wykazując umiar i wstrzemięźliwość. Wspomniana już katechetka Paulina Matoszuk, autorka pracy „Tradycje unickie w Ciciborze", m. in. napisała:

„Ostatni z prawosławnych księży przebywających w ciciborskiej parafii nazywał się Woźny. Miał on siedmioro dzieci. Jest wspominany jako porządny człowiek o spokojnym usposobieniu. Nie ingerował zbytnio w sprawy unickie, twierdząc: „Nie za mnie się to zaczęło i nie za mnie się zakończy". Opuszczając parafię Cicibór po I wojnie światowej, uporządkował rzeczy parafialne i złożył je na chórze kościelnym w kufrze".

Wspominając swój pobyt w Rokitnie, gdzie był proboszczem, ks. mgr Czesław Maziejuk, daje w tej sprawie takie oto świadectwo:

„Ktoś z prawosławnych mieszkających w Rokitnie przybył do miejscowego księdza parafialnego z donosem, że we wskazanym przez niego domu zbierają się unici. Wieczorem zasłaniają czarnymi płachtami okna, zamykają się od środka i modlą się. Ksiądz prawosławny, słuchając go uważnie, zapytał dziwnym tonem, jakby był z tego bardzo niezadowolony": „Co robią?". Donosiciel wówczas z jeszcze większym przekonaniem, że dobrze robi donosząc, odpowiedział: „Modlą się, naprawdę modlą się!".

Lud Podlasia był i pozostał wierny Bogu i Polsce. Anna Kaszperuk z Terebeli, zawsze pracowita i zabiegana, nie rozstawała się nigdy z różańcem.

Ksiądz ten, teraz już całkiem spokojnie, zadecydował: „Skoro się modlą, to niech się modlą, nie przeszkadzaj im, bo jeśli się modlą, to mają prawdziwą wiarę".

W okresie, kiedy car skasował Unię nie udałoby się podtrzymać tej wiary, jak i całego wyznania, bez wsparcia i pomocy działających tutaj tajnie łacińskich księży. Byli oni nieustannie nadzorowani i tropieni, toteż trzeba było wykazać się niemałym sprytem i odwagą, żeby uniknąć dekonspiracji i nie dać się schwytać. W przypadku zaś jakiegokolwiek łamania zakazów, bądź tylko jawnie demonstrowanej sympatii do unitów, księża ci byli surowo karani.

Za wspieranie Unii po jej likwidacji, na mocy dekretu cara ukaranych zostało na Podlasiu aż 438 księży katolickich. A karą była nierzadko deportacja w głąb Rosji.

Przemoc nie poskutkowała

Upór unitów był imponujący i wzruszający. Poza niewielką częścią nie ugięli się oni przed siłowym „nawracaniem" na prawosławie i nakazem zrywania jedności w wierze z papieżem. Nie była w stanie załamać ich stosowana powszechnie wobec nich przemoc. Zawiodły też podstępne metody działania.

I teraz sięgnijmy po wydaną w Paryżu książkę „Prześladowanie unitów w Królestwie Polskim". „Wiele wiosek - czytamy tam - przyjęło prawosławie pozornie. Podpisywali włościanie podsuwane im deklaracje dla uniknięcia prześladowań, strzegą się przecież wszystkiego, co prawosławne. Brzydzą się świętościami prawosławia, nie chcą grzebać nieboszczyków na cmentarzach urzędowych, nie biorą w cerkwiach ślubów, dzieci nie chrzczą.

Gdy we wsi Hrud, w powiecie bialskim, pop na Trzy Króle według obrządku prawosławnego poświęcił studnie, chłopi wyczerpali z nich i wylali na ziemię wszystką wodę i dopiero świeżej , niepokalanej zaczęli używać.

We wsi Uścimów, w powiecie lubartowskim, pewien włościanin, nie chcąc pogrzebać zmarłej żony na cmentarzu prawosławnym, pochował ją w komorze, a do trumny włożył kloc drzewa. Gdy na cmentarzu pop chciał trumnę otworzyć, włościanin usiłował temu przeszkodzić. Odciągnięto go jednak i po odkryciu podstępu ukarano. Trupa z komory wydobyto i pochowano na cmentarzu prawosławnym".

„Niejaki Eberg ze wsi Zabuże - m.in. czytamy tam - przyjął przed dwoma laty prawosławie i z zapałem oddaje się propagandzie nawracania. Niechętnych prawosławiu nie przyjmuje do roboty, zbiera składki na budowę cerkwi. Dostał za to order i piastuje godność sędziego gminnego. Do zaszczepienia prawosławia używa rząd wójtów, pisarzy gminnych, narzucanych przez naczelników powiatu".

Tymczasem administracja carska i prawosławna hierarchia stosowały propagandę sukcesu, przekonani o powodzeniu swoich działań. Wręcz święciły triumf.

„W sierpniu 1887 roku - czytamy w książce „Prześladowanie unitów w Królestwie Polskim"- na uczcie, wydanej przez dygnitarzy

rosyjskich, z okazji 50-lecia istnienia w Warszawie katedry prawosławnej, członek Izby Sądowej warszawskiej Mikołaj, syn Macieja Oriechowskiego, z chwalebną szczerością przedstawił w mowie swej program rządowy. Święcimy - mówił - razem z jubileuszem katedry zasadniczy, przed laty pięćdziesięciu dokonany, zwrot w polityce rządu naszego względem tego kraju: w interesie bezpieczeństwa i całości cesarstwa zrobiono pierwszy krok ku zabezpieczeniu w nim prawosławia /.../.

Jestem przekonany, że gdyby wstał z grobu cesarz Mikołaj, twórca wielkiej idei rosyjskiej w kraju tutejszym i ogarnął orlim wzrokiem swoim dawną Polskę, byłby zadowolony zupełnie. Tak, nie dziesiątki, lecz setki tysięcy mamy obecnie w tym kraju wyznawców prawosławia, język rosyjski słyszymy wszędzie. Wszystkie wydatne pozycje zajmują wierni synowie Rosji. System nauczania prowadzony jest w duchu czysto rosyjskim i chociaż niektóre gazety polskie nawołują rodziców do zacierania w młodzieży kierunku szkolnego, głupi przecież fanatycy nie zdołają zaszkodzić świętej sprawie rosyjskiej.

Zaprowadzone zostały reformy w administracji i sądownictwie, co jednak najważniejsze - świątynie boże prawosławne mnożą się, w guberni siedleckiej i lubelskiej tysiące oderwanych od prawosławia Rosjan połączyło się z cerkwią.

Słowem, w przeciągu lat pięćdziesięciu prawosławie zdobyło sobie w tym kraju podstawę trwałą i ślady rządnej ręki rosyjskiej na każdym można spostrzegać kroku... Żywimy nadzieję, że za drugie lat pięćdziesiąt zabłysną w Warszawie kopuły wielu innych cerkwi i nadejdzie czas, kiedy w dni świąteczne całe miasto zapełni odgłos dzwonów prawosławnych, wzywających ludność do modłów".

Nie były to słowa zmyślone, ponieważ zaczerpnięte zostały z rosyjskiej gazety „Warszawski dziennik", pochodzącej z numeru 159 roku 1887.

Filozofia była więc prosta. Podejście do tej sprawy znajdujemy m. in. w „Chełmskim Kalendarzu Ludowym" na rok 1891, wydanym przez chełmskie prawosławne bractwo św. Bogarodzicy. Jest tam zawarta znamienna rozmowa księdza z podlaskim parafianinem, który nie ochrzcił dziecka swego wedle obrzędów świętej cerkwi prawosławnej.

„My, prawosławni, mówiliśmy byłym unitom: pochodzicie od przodków ruskich, którzy wyznawali do czasu przyjęcia Unii religię prawosławną. Ponieważ obecnie nie istnieje, przeto według prawa i sprawiedliwości obowiązani jesteście być prawosławnymi. Zawszeście trzymali się obrzędów wschodnich, więc i teraz powinniście ich przestrzegać. Katolicy zaś tłumaczą byłym unitom: chociaż wasi przodkowie byli ruscy, jednakże przyjąwszy Unię, pobratali się z katolikami, zaznajomili się z księżmi i zaczęli nawiedzać kościoły. Niektórzy zaś, chociaż wypadkowo, chrzczeni byli w kościele, dlatego wielu unitów powinno być katolikami".

Praktyka tego nie potwierdzała. A odnosi się to również do bliskich nam wsi.

Na łamach książki „Wśród unitów na Podlasiu", jaką napisał misjonarz ks. Jan Urban, znalazł się zapis, z którego wynika, iż autor tej publikacji dwukrotnie był w Terebeli, w roku 1902 i 1903. Napisał, że do cerkwi w Ciciborze, przejętej przez prawosławie, do której to parafii należały aż cztery wioski, gdyż dwa Cicibory, Duży i Mały, a ponadto Terebela i Jagodnica. Tymczasem na nabożeństwa do księdza prawosławnego uczęszczały z tych wiosek jedynie rodziny pięciu gospodarzy. Wszyscy pozostali, jak określił autor, byli „oporni"

Potwierdza to w swej książce ciciborska katechetka Paulina Matoszuk, stwierdzając: „Ówczesna parafia prawosławna w Ciciborze była liczebnie bardzo mała. Należeli do niej: Zadoba z Cicibora, Marczuk z Cicibora Małego i Czypiruk z Terebeli. Pozostali stawiali opór".

Także więc w tej sytuacji, podobnej do bardzo wielu parafii i wsi, można było mówić o po-

lleż zadumy, myśli, wspomnień i religijnych uniesień wywołuje spowita pajęczyną stara figurka ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa na sędziwym unickim cmentarzu?

wszechnym uznaniu prawosławia?

Interesujący ślad na ten temat znajduje się także w bialskiej księdze nawróconych „Liber Conversorum" z 1905 roku. Według tego dokumentu prawosławnym w Terebeli był 46-letni Jan Czepeluk, syn Szymona i Apolonii, który ożeniony był z Marianną, córką Maksyma i Antoniny Derkacz. Lecz i on wraz z unitami przeszedł do wyznania rzymsko-katolickiego. Wraz z żoną Marianną Jan Czepeluk miał wówczas dwie córki, mającą siedem lat Mariannę i jednoroczną Antoninę, które także stały się katoliczkami.

Pojawiło się zatem nazwisko Derkacz, o którym była już wcześniej mowa. Czyżby wymieniony przez katechetkę Paulinę Matoszuk Derkacz z Terebeli miał na imię Maksym? Ten sam, który przeżył karne włóczenie go po ziemi, przyczepiony do dwóch koni? Być może to on zdecydował się wydać swą córkę Mariannę za mąż za prawosławnego Jana Czepeluka, o którym nie wiadomo skąd przybył?

Tak właśnie mogło się zdarzyć i dlatego wśród terebelskich unitów znalazł się ów prawosławny. Jeżeli by tak się zdarzyło, to by potwierdzało opowieść zasłyszaną u jednego z naszych terebelskich rozmówców, który wspomina - to na dalszych stronach - właśnie o Czepeluku, który dyskutował z miejscowymi gospodarzami, tęskniącymi za wolną Polską. Czepeluk nie wierzył, że ona powstanie. Jeżeli jednak po wydaniu przez Mikołaja II Ukazu Tolerancyjnego także on razem z unitami stał się katolikiem obrządku łacińskiego, to czyż nie stało się to bardzo wymowne?

Bo też unici nie ulegali ani karom bicia, konfiskowania mienia, karom grzywny, kontrybucji, moralnego i fizycznego poniżania, ani też przymusowemu wpisywaniu w rejestr prawosławnych. Wątły był też skutek osadzania w więzieniach, przetrzymywania na mrozie, nawet zsyłania na Sybir i strzelania. Unici, ufni Bogu, cierpliwie czekali na wskrzeszenie niepodległej, katolickiej Polski.

Pomimo stosowania takich oraz innych jeszcze kar i metod „oczyszczania" unitów z łacińskich wpływów i naleciałości, włączania ich siłą do prawosławia - zdecydowana ich większość, znosząc mężnie trudy, doczekała się carskiego Ukazu Tolerancyjnego, czyli dekretu o wolności religijnej z 30 kwietnia 1905 roku. Choć na wolną Polskę przyszło im jeszcze dłużej poczekać.

Dekret był wymuszony sytuacją wewnętrzną i zewnętrzną carskiej Rosji. W kraju – jak też na ziemiach zajętych w formie zaborów – zaczęły narastać wrzenia rewolucyjne, które zagrażały totalnym wybuchem. Spowodowane były przede wszystkim wyzyskiem i trudną sytuacją ekonomiczną ludzi pracy, kryzysem i panoszącym się bezprawiem, ale też wojną z Japonią. Niebagatelną rolę odegrał również problem unitów, z którym nie była w stanie poradzić sobie carska Rosja. Stosowana dotychczas polityka okazała się bezskuteczna i pogłębiała kompromitację państwa oraz prawosławia.

Swory - urocza świątynia unicka, która po roku 1905 została wyświęcona na kościół katolicki

Większość unitów nie zaakceptowała narzucanego im wyznania. Bojkotowali nabożeństwa i obrzędy cerkiewne. Bojkotowali księży unickich, którzy przyjęli prawosławie. W utajniony sposób korzystali z posług księży łacińskich. Nawet jeśli wymagało to dużego poświęcenia. W swoim sumieniu pozostawali wierni kościołowi unickiemu. W ich obronę włączyli się działacze narodowi. Spotykali się potajemnie na modłach.

Największe nielegalne zgromadzenie odbyło się na początku kwietnia 1905 roku w lesie między Kozłami a Rossoszą w powiecie bialskim. Wzięło w nim udział około 5000 delegatów z całego Podlasia. Księża ochrzcili wówczas ponad 300 dzieci, udzielili 50 ślubów. Świadczy to wymownie, jak duży był ciągle zasięg tego wyznania i jak bezradna okazywała się walka z nim.

Dekret ucieszył prześladowanych unitów, ale jednocześnie przeraził zaborczą administrację, której wysiłki spełzły na niczym. Podobnie zresztą stało się z wojskiem. Ci, co zmuszali siłą unitów do

prawosławia zostali nagle pozostawieni na pastwę losu.

I nie były to bynajmniej bezpodstawne obawy. Okazało się bowiem, że unici, których sytuacja po owym ukazie uległa poprawie, zaczęli masowo i spontanicznie przechodzić na obrządek łaciński. Tym razem mogli bez obaw przystępować do Kościoła rzymsko-katolickiego. Porzucali narzucane im prawosławie z wielką chęcią i demonstracyjnie. W krótkim czasie w powiecie bialskim od niechcianego prawosławia odstąpiły 18 793 osoby, a w konstantynowskim – 21 910. Całe parafie pozostały bez wiernych, tam gdzie przedtem dominowali unici, a potem byli prawosławni. Szczególnie tam, gdzie dochodziło do ostrej walki z unitami. Jak w Hrudzie i Witulinie, Ciciborze i Rossoszu, Terespolu. Spośród aż 2500 prawosławnych w Kornicy – przy tej wierze pozostały zaledwie 43 osoby. Podobnie było w Łomazach, Sworach, Wohyniu, Szpakach i gdzie indziej. Na niewiele zdało się stosowane przez ponad 30 lat prześladowanie podlaskich unitów. I tym razem wiara okazała się silniejsza od przemocy.

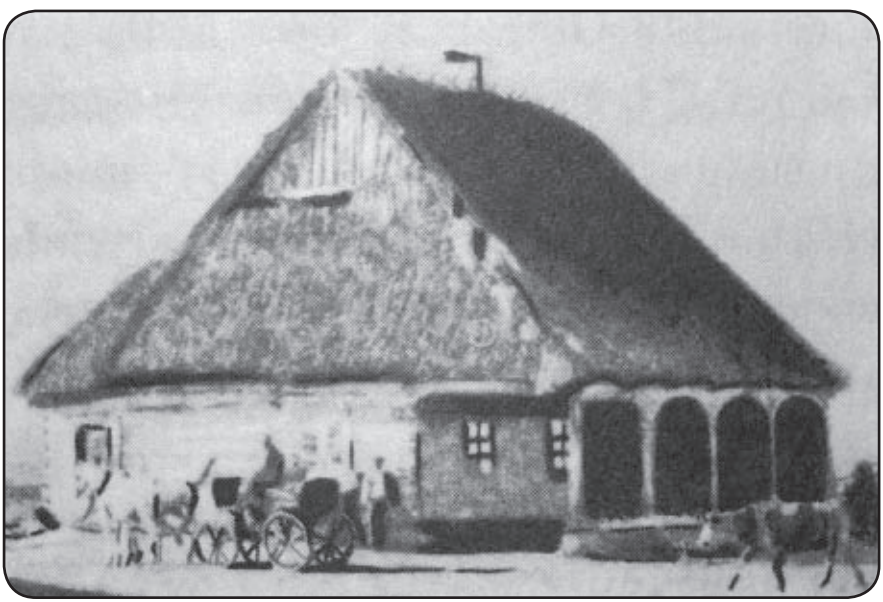

Dawna, klasycznie polska karczma według Zygmunta Glogera. Czy taka stała w Terebeli?

Rozdział IV

Nasi przodkowie

Jak znosili ucisk unici z Terebeli, czy też Jagodnicy, tego nie wiemy. Zapewne podobnie, jak wszyscy na Podlasiu. Gdy ukazał się ów dekret o tolerancji religijnej, można już było legalnie przechodzić z prawosławia na katolicyzm, bądź inne wyznanie chrześcijańskie, lub pozostać w nim. Czasem było jednak tak, iż prawa wyboru pozbawiono osoby od 14 do 21 lat, jak też dzieci z małżeństw mieszanych, w których jedno z rodziców było wyznania prawosławnego.

Trwała wówczas masowa wędrówka ludzi – całymi rodzinami, a najczęściej procesyjnie mieszkańców całych wsi – do kościoła św. Anny w Białej. Jedynego katolickiego kościoła w tej okolicy, jaki ocalał i odegrał chlubną rolę w podtrzymywaniu unitów. Przychodzili ludzie dobrowolnie, aby przystąpić do aktu nawrócenia.

Zabytkowy kościół św. Anny w Białej Podlaskiej. Tablica umieszczona na jego murach upamiętnia bohaterskich unitów podlaskich, którzy w latach 1874--1905 przychodzili do tej katolickiej świątyni, aby umocnić swoją wiarę i trwać w niej nieugięcie. Nasi rodowi przodkowie również byli wśród nich.

Ze wsi Terebela uczyniły to zgodnie 53 rodziny. A stało się to dokładnie 15 czerwca 1905 roku. To wtedy, co potwierdza znajdująca się w archiwum bialskiego dekanatu księga „Liber Conversorum", uczyniła to również rodzina naszego dziadka ze strony Ojca. Odnośny zapis

zaświadcza, że oto w bialskim kościele św. Anny stawiła się liczna rodzina mającego wtedy 43 lata naszego dziadka Leona Maziejuka, syna Maksyma i Juchymii z domu Michalczuk, który przybył z żoną, a naszą babcią, 42-letnią Anastazją, córką Józefa i Anny Laszuk. Były z nimi ich dzieci: mający wówczas 18 lat Stanisław, o rok młodsza Leontyna, 15-letni Władysław, 11 -letnia Marianna, liczący wówczas 5 lat Franciszek i o 3 lata młodsza od niego Feliksa.

Franciszek po upływie lat stał się naszym Ojcem, a jego najstarszy brat Stanisław - stryjem.

Na tym cmentarzu, zapomnianej terebelskiej nekropolii, spoczywają więc obok innych - także nasi rodowi przodkowie, czego bardzo długo byliśmy nieświadomi. Na pewno znajdują się tutaj prochy naszych pradziadków, jak też przodków wcześniejsze - ze strony ojca. Na podobnym cmentarzu w Sworach spoczywają natomiast prochy pradziadków ze strony Mamy, Bronisławy z domu Ceniuk.

Tych, którzy porzucili prawosławie, już dawno nie ma. Pogrzebano ich na cmentarzu w Białej i gdzie indziej. Nasz ojciec Franciszek, zmarły na tyfus w listopadzie 1941 roku, spoczął na cmentarzu parafialnym w Leśnej Podlaskiej. Tam spoczęła dziesięć lat później nasza mama Bronisława.

Los zrządził, że dawni unici, kiedy już dorośli, często wywędrowali poza Terebelę. Pamięć o tych, co pozostali w wiosce, niestety okazała się nierzadko krótka i wątła. Bywał ten cmentarz niezasłużenie uważany za „ruski", chociaż nigdy nie był rosyjskim, pozostając zawsze unickim. Czyżby dlatego, że przerwany został w rodzinach przekaz prawdy?

Po chachłacku

- Jako młody chłopak interesowałem się tym cmentarzem -mówi Józef Maziejuk, urodzony w 1921 roku w Terebeli. - Poprawiałem wraz z innymi chłopakami krzyże, których wtedy stało tutaj jeszcze dużo. Gdy który zwalił się ze starości, zakopywaliśmy go ponownie, był wprawdzie krótszy, ale nadal stał. Były, jak pamiętam, zaledwie dwie czy trzy tabliczki z imionami i nazwiskami zmarłych.

Tam spoczęli także moi pradziadkowie. Nasi dziadkowie opowiadali, że jak umarł człowiek, trzeba było grzebać go ukradkiem, bo jak dowiedział się o śmierci pop z Ciciboro, a tam była cerkiewka prawosławna, to przybywał bez żadnej prośby, aby taką osobę pochować po swojemu. A ludzie sprzeciwiali się temu, gdyż byli unitami, dlatego potajemnie grzebali takich po swojemu.

Przez nikogo nie proszony prawosławny pop wygłaszał nad mogiłą swoją modlitwę, a naszym przodkom to nie odpowiadało, ponieważ byli katolikami i nie uznawali prawosławnej zwierzchności. Uważali, że ciciborski pop nie ma władzy nad nimi, ale on nawet zwłoki pragnął przyporządkować swojej wierze. Prawosławie sprzeciwiło się unitom, bo podlegali oni pod Rzym, a nie Moskwę.

Powołując się na opowiadania dziadków, Józef Maziejuk zaznacza, że ciciborski pop – tak w ogóle – nie był złym człowiekiem. Starał się jak najlepiej wypełniać obowiązki, jakie mu przypadły, ale unitów nie prześladował. Opowiadano we wsi, że pewien chłop z Ciciboro wypuścił na noc konia na pastwisko, sam zaś położył się w kupce siana i twardo usnął. Siano w kupce należało do popa. Gdy jego służąca poszła na łąkę, żeby skopić resztę siana, ponieważ zbierało się na deszcz, zastała tam śpiącego mężczyznę. Zaniepokojona przybiega do „batiuszki", aby opowiedzieć mu o tym. – „Nie budi jeho, może batka jeho wyhnał z doma, to gde on pude? – miał dobrotliwie powiedzieć pop.

Józef Maziejuk: „U nas gadało się tylko po chachłacku..."

– U nas gadało się tylko po chachłacku – mówi Józef Maziejuk. – Już w dzieciństwie poznałem język i dotąd go rozumiem. Potem starsi nadal „bołbotali" po chachłacku i tak wbiło mi się to w pamięć, że i teraz mogę swobodnie rozmawiać w tym języku.

W okresie młodości, jak zapamiętał, mieszkał w Terebeli tylko jeden człowiek wyznania prawosławnego. Był to Czepeluk, z którego córką ożenił się

później – a była to jego pierwsza żona – Paweł Koszołko, który przeniósł się po latach z drugą żoną do Jagodnicy, urządzając gospodarstwo po sąsiedzku z naszym rodzinnym.

– Ojciec Czepeluka, jak nam opowiadali dziadkowie, obstawał za Rosją – kontynuuje swoją opowieść Józef Maziejuk. – Czepeluk zarzekał się, kiedy dochodziło do dyskusji, że wpierw na dłoni wyrosną mu włosy, niż powstanie wolna Polska. Chociaż doczekał jej wskrzeszenia, pozostawał nadal w Terebeli, bo ludzie nie byli mściwi, żyli zgodnie i nie utrudniali Czepelukowi życia.

Nie mścili się na nim, pomimo, że był za Rosją, bo on też nikomu krzywdy nie wyrządził. Za czasów rosyjskiego zaboru nie wzywał do Terebeli kozaków czy żandarmów. A jako strażnik wioskowy, ustanowiony przez władze rosyjskie, miał obowiązek informować ich o zachowaniu ludzi, o czym oni ze sobą rozmawiają, czego oczekują czy też jakiś obcy nie trafił do wsi i po co.

– Za mojej pamięci – mówi dalej Józef Maziejuk – na tym cmentarzu już nikogo po śmierci nie chowano. Zmarłych woziło się na pogrzeb do Białej. Tam odbywały się Zaduszki, ale byli tacy, co i tutaj na grobach krewniaków kładli kwiaty i zapalali znicze. Wbiło się w moją pamięć to, że ostatnim świeżo postawionym krzyżem na unickim cmentarzu był krzyż, który stał tam, gdzie leżała Krystyna z Czyżewskich. Jak to się stało, że zapamiętałem to nazwisko?

Może dlatego, że widniała na krzyżu tabliczka zmarłej? Zdaje się, że pogrzebana została ona w 1915 roku, ale całkowicie nie jestem tego pewny. Zapamiętałem ten szczegół także dlatego, że mój dziadek wziął sobie za żonę, która stała się moją babcią, pannę z rodu Czyżewskich, który w Terebeli już nie ma swoich kontynuatorów. Nie utkwiło mi natomiast w pamięci, aby w tamtym czasie na terebelskim cmentarzu odbywały się zaduszki.

Nasz, autorów tej książki, pradziadek ze strony ojca Maksym Maziejuk, który przybył do Terebeli z innej wsi, miał trzech synów: Pawła, Leona i Emiliana. Ten ostatni był dziadkiem Józefa Maziejuka, a jego brat Leon dziadkiem Henryka i Jana Maziejuków, czyli naszym. Łączy więc nas z J. Maziejukiem pokrewieństwo wcale nie tak odległe, jakby mogło się wydawać.

U nas w domu wspominało się często, że Anastazja, żona Leona,

wasza babcia, była kobietą źle widzącą, a właściwie niewidomą. Wzrok straciła, kiedy była już starszą osobą. Pamiętam tylko, że kiedy dzień był słoneczny, a ona wychodziła na dwór, wtedy cokolwiek dostrzegała. Była osobą tak bardzo pracowitą, że pomimo ślepoty gotowała i prała, doiła krowy. Oglądała zwierzęta w gospodarstwie. Po sobie zostawiła uznanie i szacunek.

Wojnę i wszystko to, co się z nią wiązało, nasz rozmówca pamięta doskonale. No, ale to już temat na odrębną opowieść...

- Na tym cmentarzu w 1944 roku okopali się Niemcy, żeby powstrzymać atak Rosjan od strony Rakowisk - wspomina Józef Maziejuk. - Tam jeden z Niemców został ciężko ranny. Przeniesiono go do Żylików. Miał zdartą skórę z całych pleców. Zostały tylko nagie kości. Stało się tak dlatego, że spadł obok niego i rozerwał się ruski moździerz. Żylikowa dała mu zsiadłe mleko, gdyż było lato, koniec lipca, a on je wypił i zaraz skonał.

Kiedy jechał car...

Józef Szyc, rocznik 1923, też wie dużo o Terebeli i jej przeszłości.

- Więcej mógłby powiedzieć Kazimierz Michalczuk - wyjaśnia on. - Michalczuk przeniósł się do Białej, ale przyjeżdża jeszcze do nas rowerem na różaniec. Zatrzymuje się u syna. Kazik pamięta, w którym miejscu znajduje się na cmentarzu ślad grobów jego przodków. Nawet wie, gdzie była mogiłka dziecka. Ja natomiast nie wiem, niestety, gdzie spoczął na zawsze mój pradziadek, który był oczywiście unitą, na pewno jednak na terebelskim cmentarzu. Tak samo, jak jego żona, a moja prababcia.

Jan Dobruk, który żył długo i odznaczał się znakomitą pamięcią, przystąpił do Terebeli - opowiada dalej Józef Szyc - ze Swór, bo tutaj znalazł dla siebie pannę i się ożenił. Jego interesowało wszystko, co było dawne i dzisiejsze, on bardzo dużo wiedział i mógłby wiele naopowiadać, ale zmarł nie tak dawno, bo był już starym człowiekiem.

Z tego, co - powołując się na swoją pamięć - mówi Józef Szyc wynika, że w jego rodzinie, jak zresztą w całej wiosce, przetrwało nie-

wiele wiadomości o unitach. Nie był to temat znaczący wiele dla samoświadomości mieszkańców Terebeli. Józef Szyc zapamiętał opowieść starego Romanowskiego, który chętnie powtarzał pewną historyjkę zasłyszaną w rodzinie Panasiuków.

Kiedy zmarł Kiryłło z Terebeli – tak był on nazywany – to doszło wtedy do sporu. Kiryłło był unitą. Ludzie nie chcieli, żeby w jego pochówku brał udział „batiuszka", na stałe mieszkający w Cicibórze, gdzie znajdowała się dotąd stojąca tam cerkiew. Ksiądz był prawosławny. Nikt nie powiadamiał go o tej śmierci, ani go zapraszał na pogrzeb, lecz on i tak przybył na terebelski cmentarz, gdzie miał nad mogiłą taką oto przemowę:

Józef Szyc: „Ludzie nie chcieli, żeby w pochówku brał udział batiuszka..."

„Na czto tebia czełowiecze było chodyt na swetie, derewa rubat, kak ty swiatowat nie chotił, a teper twoje mesto w trumence. Na czto tebia czełowiecze było to, na czto?"

Miał tak mówić – i ja tak teraz opowiadam, bo było to mówione po chachłacku. Ja znam ten język i mogę ciągle bełbotać po chachłacku...

Dlaczego pogrzebowego nabożeństwa nie odprawiał ksiądz uniacki z Terebeli, tego ja nie wiem. Może już nie było tutaj cerkwi? Została spalona przez zbuntowanych kozaków od Chmielnickiego, czy w inny sposób zniszczona? Ojciec nic mi o tym nie mówił, dziadek coś gadał, ja jednak tego nie pamiętam.

Bardziej barwne były widocznie inne opowieści, dotyczące cara czy też postępowania kozaków, skoro zapadły one głęboko w ludzką pamięć.

– Poprzez Cicibór i Witulin jeździli w powozach carowie do Leśnej, gdzie znajdował się prawosławny monastyr, którym zarządzała jakaś ważna przeorysza – zaznacza Józef Szyc. – Przejazd cara stanowił w tej okolicy duże wydarzenie. Na trasę jego przejaz-

du ludzie wychodzili z ciekawości albo pod przymusem, kiedy siłą byli wypychani na drogę, aby powitać dostojnego cara. Ludzie musieli przed carem klękać na kolana, jakby to był jaki święty. Była to jednocześnie rzadka okazja, żeby przedstawić carowi prośby czy też błagania. Listy z karteczkami wpinać trzeba było w głowę, we włosy albo nakrycia, aby urzędnik mógł je stamtąd wybrać i przedstawić carowi do wglądu. To tak, jakby dopiero wtenczas panująca głowa koronowana Rosji mogła dowiedzieć się czegoś, co naprawdę dolega ludziom i czego oni sobie życzą.

A skargi dotyczyły też, jak opowiadali ludzie, postępowania popów. Było bardzo wiele narzekań i pretensji do nich, ponieważ niektórzy groźbą i siłą nawracali unitów na prawosławie. Wniosek z tego miał wynikać taki, że car zawsze jest dobry i sprawiedliwy, troskliwy, a błędy popełniają tylko podlegli mu urzędnicy i „batiuszki". Taka to gadka - szmatka, w którą wielu zechciało jednak uwierzyć.

Zając to czy duch?

Cmentarz był obecny w wyobraźni i wspomnieniach ludzkich od wielu dziesiątek lat. Przeszłe pokolenia, tak czy inaczej, były z nim związane. A dotąd pamięć o nim zachowała się w pamięci już tylko najstarszych mieszkańców wsi.

- Przed wojną we wsi mieszkało dwóch kłusowników - opowiada Józef Maziejuk. - Jeden był szczególnie uparty i zawzięty na dzikie zwierzęta. On na miejsce polowań upatrzył sobie unicki cmentarz. Zajęcy było wtedy bardzo wiele, nie to, co teraz, że trudno spotkać szaraka. Zające przybiegały zimą na cmentarz, aby poobgryzać korę z drzew i krzewów, bo i śniegu bywało dużo więcej aniżeli obecnie, i mróz panował tęgi.

Noc była jasna, księżycowa. Kłusownik, usadowiony za grubym drzewem, wypatrywał niecierpliwie czy gdzieś nie kręci się dorodny zając. Patrzy, a tu właśnie kica taki, jakby nigdy nic, w jego stronę. Pomyślał, że wnet będzie jego, bo na pewno go ustrzeli. Zając podszedł bliżej, ten wziął go na muszkę i wypalił do niego z dwururki.

Charakter zabudowy Terebeli, jaką była ona przed laty, zmienił się już całkowicie, nie do poznania, zmienia się też nadal, coraz bardziej przybierając wygląd podmiejskiej osady.

A zając zachował się tak, jakby nie usłyszał strzału i śrut w ogóle nie imał się jego. Z ciekawości stanął słupkiem, unosząc do góry łapki. Postał chwilę w tej pozycji i znowu kica spokojnie wprost na kłusownika. Ten znowu wypalił do niego raz i drugi, był absolutnie pewny, że go trafił. Na wszelki wypadek, jakby dla poprawki, oddał następny strzał, a zając stanął słupkiem, składając w górze dwie przednie łapki. Co za licho?

Kłusownika obleciał strach, bo zając stał wyzywająco i śmiało, jakby kpił z niego. Patrzy na tego, kto chce mu zadać śmierć, niczym nie wystraszony...

Kłusownikowi zadrżały ręce tak bardzo, że fuzja niemal wypadła na śnieg. Oblany zimnym potem, zmobilizowany - oddał jeszcze jeden strzał, a zając nadal nic sobie z tego nie robi. Wręcz drwi ze swego wroga. Ludzki to duch - pomyślał kłusownik - czy może co innego?!

Nie zdzierżył tego wyzwania. Opuścił fuzję i ukradkiem, niepyszny, odszedł z cmentarza - zaznacza wyraziście nasz rozmówca. - Kłusownik zdezerterował z takim postanowieniem, że już nigdy więcej nie wyprawi się z flintą w to miejsce. I tak stało się naprawdę.

Pochówek... szkieletu

Druga zasłyszana opowieść Józefa Maziejuka też ma być prawdziwa. Też dotyczy cmentarza. Historia, jaką on poznał dzięki temu, iż doświadczyli jej trzej wujkowie jego żony, Panasiukowie.

- Kopali staw rybny na łące Derkacza - mówi on - Wcześniej były tam bagna. Głęboko pod darnią trafili na ludzki szkielet, należący do rosłego mężczyzny. Szkielet znajdował się w dobrym stanie. Panasiukowie zachowali się jednak dziwnie i nieprzyzwoicie, ponieważ zaczęli drwić, żarty stroić z odnalezionego szkieletu.

Jeden postukiwał kosteczkami, uderzając nimi o siebie, aby sprawdzić czy wciąż są twarde, drugi dmuchał na nie, żeby usunąć z nich nalot i zobaczyć, jaki mają kolor, żółty czy biały, a trzeci - pozwolił sobie na nieprzyzwoite kpiny.

Po dniu nastała noc - wszyscy trzej, bo potem opowiadali sobie

o tym, mieli ciężkie sny. Ten, co za dnia postukiwał kosteczkami - odczuwał ból przez całą noc jakby bez przerwy ktoś stukał go w głowę. A tego, który drwił ze szkieletu, cięgiem coś dusiło, że omal ducha nie wyzionął. Coś bez przerwy ściągało z niego kołdrę i nie dawało spokoju. Temu zaś, który dmuchał w kości, nagle zrobiła się w nosie krosta i nie mógł dlatego normalnie oddychać, bezustannie męcząc się całą noc.

Kiedy rankiem pytali siebie, jak zeszła noc, doszli do wniosku, że była straszna - i bracia czują się mocno zmęczeni.

W dzień znowu kopali staw. Robota była ciężka, pospieszali z nią, więc nocny sen powinien być twardy i zdrowy. A okazało się jednak, że i tę noc Panasiukowie przespali bardzo źle. Znowu, jak poprzednio, męczyli się i wstali z łóżek mocno zmęczeni. Każdemu śniło się to samo, co poprzedniej nocy.

Nareszcie - powiada Józef Maziejuk - jeden z wujków żony wziął ze sobą na łąkę lniany worek i włożył do niego wszystkie kosteczki z odnalezionego szkieletu. Kostki zanieśli na cmentarz w Terebeli, wykopali tam dół, uszkodzony szkielet pokropili święconą wodą i zakopali go, jakby to był pogrzeb obcego mężczyzny. Ustało odtąd to wszystko, co braciom Panasiukom w ostatnie noce nie dawało spokoju.

Skąd - zastanawiamy się wspólnie - znalazł się na łące ludzki szkielet? Wedle dawnych opowieści, które przypomniał sobie pan Józef, bo krążyły z pokolenia na pokolenie, tędy właśnie - poprzez bagna - uciekali Szwedzi, przepędzeni z Białej, chcąc krótką drogą przedostać się z Terebeli do Witulina. Niedostępne wówczas bagna pochłonęły na zawsze wielu rosłych Szwedów.

Zabici przez bezpieczniaków

Po drugiej wojnie światowej na terebelskim cmentarzu unickim pojawiły się dwie świeże mogiły. Znaleźli się w nich młodzi mężczyźni, których spotkała tragiczna śmierć.

- Chodzi o brata Piórowej, który podczas wojny mieszkał u Dobruka - opowiada Józef Szyc. Antoni Pióro był wówczas dziedzicem w Terebeli. Pióro kupił w 1935 roku, kiedy był parcelowany terebelski folwark, park z pałacem i podworskimi budynkami oraz ziemię orną.

Posiadłość ta przekraczała w sumie trochę 50 ha. Nie była więc duża, lec z i ona objęta została dekretem PKWN o reformie rolnej.

Syna Piórowej – tak się tutaj mówiło – ustrzelić miał jakiś młody chłopak z Witulina. Syn dworskiego fornala, który był wtedy funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa. Jakoby – zaznacza rozmówca – za to tylko, że tamten był w Armii Krajowej.

Zabytkowy terebelski pałac dworski, w którym po dokonaniu parcelacji folwarku mieszkał Antoni Pióro, po wojnie został zdewastowany i ostatecznie zniknął. Ten, jaki stoi tam teraz, powstał na podobieństwo tamtego.

Drugiej ofiary Józef Szyć nie zdążył poznać. Zobaczył ją już po śmierci, biorąc udział w pochówku.

– Józef Derkacz urządził w starej drewnianej remizie zabawę taneczną – opowiada Józef Szyc. – Mnie tam nie było, bo ja o zabawie nic nie wiedziałem. Po zachodzie słońca, gdy było jeszcze widno, poszedłem spać do stodoły. Ktoś, pewnie jakiś szpicel, od których nie dało się opędzić, powiadomił o zabawie bialski UB, gdyż przyjechali stamtąd ubowcy, otoczyli remizę i zgarnęli chłopaków. Potrzymali ich trochę i wypuścili. Zresztą na miejscu. Ten obcy chłopak był też na tej zabawie, ale uciekał, kiedy pojawili się bezpieczniacy, bo widocznie coś było nie tak, jak trzeba. A może, kto wie, tylko ze strachu? Gdy już poza stodołami był i zbliżał się do rowu, padł od kuli. Lecz kto go zabił, tego nie powiem, bo nie wiem.

Byłem na cmentarzu – nasz rozmówca kontynuuje swoją opowieść – kiedy już go do ziemi zakopywali. Legł tam jako bezimienny. Trumny brakowało, nie było komu jej kupić, trzeba było mieć za co kupić, a nikt nie chciał pieniędzy wyłożyć. Zabity był dlatego zawinięty w zgrzebną płachtę. Na twarz jego ciała położyłem papę, licząc, że kiedyś może ktoś zechce go odkopać? Wtedy – tłumaczy – nikt nie będzie musiał uderzać go łopatą po głowie, gdyż papa nie zgnije.

Obok siebie, między dwiema rozłożystymi sosnami, wyrosły dwie świeże mogiły. Ludzie dobrego serca wbili w grunt małe krzyże. Oba takie same. Ciał jednak nikt nie ekshumował. Na zawsze tam zostały. Na jednej z mogił – tej, w której spoczął brat Piórowej – ktoś jednak zapala świeczki.

ꕥ ꕥ ꕥ

Wróćmy na koniec do unitów. Ich prześladowania za dochowywanie wiary i utrzymywanie polskości trwały niespełna 40 lat podczas rosyjskiego zaboru. Prawda o postawie, uporze, poświęceniu i konsekwencji unitów, często okupiona krwią, czasem też zdrowiem i śmiercią, trafiła do powszechnej świadomości dopiero wówczas, kiedy papieżem został Polak Karol Wojtyła, jako Jan Paweł II. On to z właściwą sobie powagą i postawą przypomniał wszystkim wierzącym o dramacie podlaskich unitów.

Za trwania jego pontyfikatu Męczennicy z Pratulina, uosabiający wszystkich podlaskich unitów, wyniesieni zostali na ołtarze.

Beatyfikacja odbyła się 6 października 1996 roku dokładnie w 400. rocznicę unijnego Synodu Brzeskiego, którego efektem było powstanie Kościoła unickiego w dawnej Rzeczypospolitej. Ojciec Święty podczas Mszy świętej beatyfikacyjnej na Placu św. Piotra w Rzymie powiedział m. in. o postawie unitów:

„Jako wierni słudzy Pana, pełni ufności w moc Jego łaski, dali świadectwo swojej przynależności do Kościoła katolickiego w wierności własnej tradycji wschodniej. Uczynili to z pełną świadomością i nie zawahali sio złożyć ofiary z życia na potwierdzenie swego oddania Chrystusowi. Nie szczędząc siebie, męczennicy z Pratulina bronili nie tylko świątyni, przed którą ponieśli śmierć, ale także Kościoła, który Chrystus zawierzył apostołowi Piotrowi. /.../

Wyniesieni dzisiaj na ołtarze /.../ przez swój przykład i wstawiennictwo, zapraszają nas wszystkich, abyśmy mężnie kontynuowali wędrówkę ku pełnej jedności całej rodziny uczniów Chrystusa..."

Pamięć o unitach podlaskich stała się dzięki temu bliższa ogółowi. Wzbogacona i utrwalona. Pamięć – tym samym – o wszystkich

unitach, którym należy się od nas szacunek za ich postawę. Za życie i dokonania. Za wierność Polsce.

Zapominani i pomijani - znowu stali się podmiotem szerszego zainteresowania katolików. Jak w bardzo wielu podlaskich wioskach i miasteczkach, także i w Terebeli stało się to aktualne i wymowne.

Było, minęło. Jednak nadszedł już czas, byśmy patrząc na siebie przyjaźnie i ufnie, idąc za myślą Soboru Watykańskiego II, nauczaniem i działalnością Jana Pawła II, nie tylko tęsknili za jednością Kościoła, ale dołożyli wszelkich starań, by rychło podzielony dziś Kościół, założony przez Jezusa Chrystusa, był jednością w różnorodności. Tak, jak sam Bóg jest jeden, ale w trzech Osobach.

Oby jak najszybciej wyznania chrześcijańskie, a w szczególności Prawosławie i Katolicyzm, byli jedno, zachowując odrębność: obrzędów, zwyczajów, języka, bogactwa swej tradycji. To może i powinno stać się wzajemnym ubogaceniem.

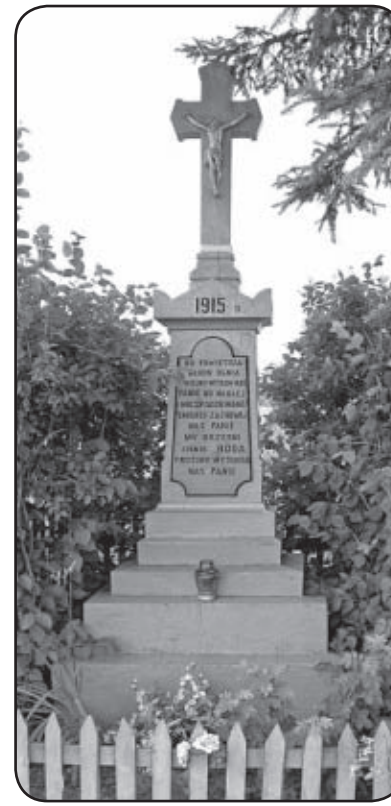

Wzniesiony w 1915 przez mieszkańców Terebeli krzyż intencjonalny. Napis znajdujący się na nim tak brzmi: „Od powietrza, głodu, ognia, wojny wybaw nas Panie, od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie, my grzeszni Ciebie Boga prosimy o wysłuchanie nas Panie".

Powinniśmy wielbić Boga i zbawiać się obok siebie, ale razem w różnorodności. Tym bardziej dlatego, że przecież Jan Paweł II zwracając się do prawosławnych powiedział:

„Pragnę jeszcze raz zapewnić pasterzy oraz braci i siostry z Kościołów prawosławnych, że nowej ewangelizacji nie można bynajmniej mylić z prozelityzmem, i że bezwzględnie obowiązuje respektowanie prawdy, wolności i godności każdej osoby ludzkiej".

W takim spichlerzu spotyka się często dawne wyroby i narzędzia, zapomniane sprzęty...

Pojemnik ze słomy i wikliny, zwany krubką, służący do przechowania zboża.

Ważyło się wtedy w pudach, a jeden pud to 16 kg.

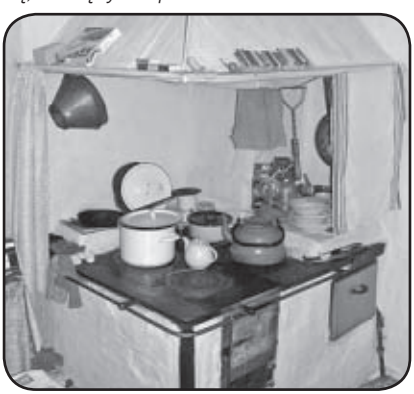

Kuchenna płyta sprzed lat, okryta okapem.

Odświętna chłopska izba, już rzadka także w Terebeli.

Zamiast recenzji

Nie tylko o Terebeli

Książka Jana i Henryka Maziejuków to druga publikacja o ich rodzinnych stronach. Autorzy zgromadzili w niej nadzwyczaj dużo wiedzy i dokumentów o kilku małych wioskach powiatu bialskopodlaskiego, pisząc wspomnienia o swoich najbliższych, bliższych i dalszych krewnych, kuzynach i powinowatych. Napisali dwie spore książki o małej społeczności lokalnej, usytuowanej - zdawało by się - na końcu świata, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Okazało się jednak, że ten mały świat co najmniej przez dwa stulecia znajdował się w środku wielkiej polityki. Przejeżdżały tamtędy, szwedzkie wojska, czego ślady znajdowano na polach i łąkach jeszcze w dwudziestym wieku, przetaczały się wozy napoleońskich wojsk, pewnie i polskich oddziałów tej armii, te wsie były terenem działań Wielkiej Wojny, jak wtedy zwano pierwszą wojnę światową, tędy przetaczały się czołgi niemieckie i sowieckie. Zawsze tę ziemię grabiono, zawsze zabudowania ginęły w pożodze.

Był to świat prostych, skromnych ludzi. Czasem wychodzili spośród nich ludzie światli, znaczący więcej niż tylko w skali powiatu, czy nawet województwa, ale ich było niewielu. Wszyscy trwali na tej samej ziemi. Zajmowali się tym, co zaspokajało ich skromne potrzeby życiowe, zadowalali się tym, co mieli. I trwali w wierze. Niestety, to trwanie stawało się przyczyną ich największych dramatów. Zawsze wielbiąc tego samego Boga, stawali się obiektem

walk między religiami. Raz żądano od nich, by byli prawosławnymi, innym razem unitami, jeszcze kiedy indziej katolikami. Wymuszano te zmiany siłą, gwałtem, mordami, rabunkami, kontrybucjami, Sybirem. Dla nich zawsze najważniejsza była wiara ojców, Najświętsza Panienka - ta najbliższa z Żyrowic. Jej zachowali wierność, Jej się kłaniali, do Niej się modlili.

Zawsze - mimo nacisków moralnych, mimo terroru wojskowego, trwali przy kościele unickim, który był dla nich kościołem wiary ojców, zawsze stawiali opór prawosławiu, bo było ono narzędziem carskiego zniewolenia.

Dla mnie, czytelnika tej książki, syna kresowej wiejskiej nauczycielki i policjanta z miasteczka powiatowego, w którego pobliżu znajdowały się Żyrowice, książka ta stanowi powód do wielu wspomnień. Madonna żyrowicka, o której sam pisałem jest jedną z czterech kresowych ikon - świętości. Maziejukowie wspominają o niej, ponieważ cerkiewka w Terebeli mieściła w ołtarzu jej obraz. Druga, o której też pisałem - w rozprawie doktorskiej i w tekście o księdzu Janie Ziei, a w latach trzydziestych tamtejszym proboszczu - bliższa Podlasiu niż żyrowicka, to Matka Boska z Łohiszyna. Papież Jan Paweł II rękami Kardynała Kazimierza Świątka włożył koronę i mianował Ją Królową Polesia. Mnie kard. Świątek podarował fotokopię obrazu, już z papieską koroną osobiście pokropiwszy.

O trzeciej Madonnie kresowej też pisałem - też w rozprawie doktorskiej. To Jaśnie Pani Jazłowiecka, madonna sióstr niepokalanek, patronka ułanów. Opowieść zakonna głosi, że w roku 1939 figurę uratowała jedna z zakonnic przy pomocy ...krasnoarmiejca, żołnierza Armii

Czerwonej. Czwarta kresowa Madonna nie wymaga szerszej prezentacji. To Ostrobramska. Pierwsz raz odwiedziłem Ją w roku 1938.

Oni, tam na Podlasiu, mają swoje prześwietne madonny: Leśniańską i Kodeńską. Czcili je nabożnie obok żyrowickiej.

Aż dziw bierze, że o tak małej społeczności tak wiele można napisać, tak wiele zgromadzić dokumentów. Tak wiele ginącej przeszłości uchronić od niebytu. Bo ze wszystkich dóbr doczesnego świata właśnie nagrobek i krzyż cmentarny, czy tylko zachowane w pamięci ludzkiej miejsca po unicestwionym cmentarzu stanowią spoiwo między dawnymi a nowymi czasy. Jan i Henryk Maziejukowie pięknie tę myśl pokazali. Na tym właśnie polega wartość tej książki.

Dr Zdzisław Stankiewicz

Sędziwy krzyż cmentarny, licząc dobrze ponad 100 lat, mający charakterystyczne zdobienia.

Bibliografia

1. J. Bojarski, „Czasy Nerona w XIX wieku", Lwów 1885.
2. H. Dylęgowa, „Unia Brzeska i unici w Królestwie Polskim", Warszawa 1989.
3. J. Flisiński, „Nadania hospodarskie i donacje prywatne dla kościołów i cerkwi (prawosławnych) na Południowym Podlasiu w źródłach drukowanych w XV-XVIII wieku". Rocznik Bialski tom XII, Biała Podlaska 2004.
4. T. Krawczak, „Kształtowanie świadomości narodowej wśród ludności wiejskiej Podlasia w latach 1863-1918", Biała Podlaska 1982.
5. Paulina Matoszuk, „Tradycje unickie w Ciciborze" (maszynopis).
6. Bronisław Seniuk i Roman Zwierzyński, „Lubelszczyzna 1996", Lublin.
7. Ks. Roman Soszyński, „Unia w Białej Podlaskiej", Biała Podlaska 1998.
8. Franciszek Jerzy Stefaniuk, „Unitów Drelowskich Droga Krzyżowa".
9. J. Pruszkowski, „Martyrologium czyli Męczeństwo Unii Świętej na Podlasiu", część I, Lublin 1917.
10. W. Reymont, „Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki", Wydanie IV, Kraków 1927.
11. J. Urban, „Wśród unitów na Podlasiu", Kraków 1923.
12. „Z domu niewoli. IV. Prześladowanie unitów w Królestwie Polskim", Paryż 1891.
13. Walerian Charkiewicz, „Żyrowice - Żyrowice - Łask krynice", Słonin 1930.

Spis treści

Wstęp 5

Rozdział I. Ludzie silnego ducha 7
Rusińskie korzenie 9
Rzym bliższy niż Moskwa 13

Rozdział II. Gdzie stała, jaka była? 17
Zawodna ludzka pamięć 20
Na przykład w Hrudzie 22
Kara za nieuległą postawę 27
Męczeństwo w Drelowie 28
Padł, mając ciało przeszyte kulą... 30
Poetyckie strofy 34

Rozdział III. Pogrom unitów w Pratulinie 36
Nawracanie pałką i knutem 40
Co zdarzyło się w Witulinie? 45
Potajemne śluby i chrzty 49
Przemoc nie poskutkowała 53

Rozdział IV. Nasi przodkowie 59
Po chachłacku 60
Kiedy jechał car... 63
Zając to czy duch? 65
Pochówek... szkieletu 67
Zabici przez bezpieczniaków 68

Zamiast recenzji. Nie tylko o Terebeli 73

Bibliografia 77

Spis treści 78